

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES
POLONAISES
HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ROK I — NR. 12 — PARYŻ,
NIEDZIELA, 2 CZERWCA 1940

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

P A R I S,
52, avenue des Champs-Élysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Metro: Marbeuf.

Codzieln w g. 10—12 i 15—19.

Konto w Banku Polskiej Kasy
Opieki (23, r. Taitbout) nr. 72.

CENA PRENUMERATY:

We Francji kwart. 35 fr., półroc. 65 fr., rocz. 125 fr.
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglii 6 s. 6 d., w Belgii — 8 belgów, w Danii, Norwegii i Szwecji — 7 koron, w Holandii — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 35 piastów, w Rumunii — 400 lei, w Szwajcarii — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengő, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

BOLESŁAW MICIŃSKI

ODPOWIEDŹ NA LIST FRANCESCA, OBYWATELA RZYMSKIEGO

Kochany Francesco! Trudno, do-
prawdy, powiedzieć jak bardzo ucie-
szył mnie Twój list. Masz dopiero sześć
lat i umiesz już pisać tak ładnie. Kie-
dy byłem w twoim wieku — miałem bar-
barzyńca — nie znalazł jeszcze liter.
Pomyśl jak bardzo jestem spóźniony
w kulturalnym rozwoju! Musisz być
dla mnie wyrozumiały. Nie krzyżuj
nie więcej, jeśli w tym liście znajdziesz
niektóre błędne cytaty wyjęte z
dzieł twych znakomych rodaków. Cy-
towałem z pamięci! Książki, które
zbierałem z taką miłością, strawił o-
gień. Myślę, że raczej ja zastąpię na
ten los niż one. Została tylko pamięć
nie zawsze wierna. Słowem: skarby
mieczowi spustoszyli złodzieje, i nawet
pieśń cała nie uszła.

O ile ty jesteś szczęśliwszy! Ja uczy-
łem się łaciny w brzydkim północ-
nym mieście a stronicę «Eneidy» za-
ciemniały mi czarne chmury płynące
znad Bałtyku. Ty możesz czytać
«Eneidę» na grobie Wergilego, pod
niebem które nie jest «jak zmarła
woda», pod niebem do którego tak
blisko z twojej ziemi. Możesz czytać
«Eneidę» na grobie tego, który kochał
«pascua, rura, duces».

Tem bardziej cieszy mnie że napi-
sałeś drugi list w barbarzyńskim języ-
ku «zlikwidowanego» kraju — po pol-
sku. Możesz powiedzieć teraz o sobie
jak Owidiusz: «didici sarmaticae lo-
qui»... Podziwiam twoją zdolność ję-
zykową, bo nie wątpię że skreśliłeś ten
list «ipsa manu». Gdyby list twój był
tylko przekładem, gdyby jakiś barbar-
zyński skryba, który «profugus Lavi-
niaque venit», przełożył twoją wytwor-
ną łacinę na język polski, dodałby
przecie wzorem Owidiusza: «si casu
miraris aepistula quare alterius di-
gitis scripta sit». Ciesz się więc tym
listem pisanym po polsku i oceniam
delikatność twoich uczuć: jako potom-
ka Eneasza, fundatora Imperjum
Rzymskiego i trojańskiego emigranta,
rozumiesz cierpienia uchodźców i
współczujesz z nimi.

II

Teraz, kiedy piszę te słowa, jest noc.
Et iam nox umida coelo precipitavit,
i schodzące gwiazdy skłaniają do snu.
Nikt nie umiał pisać o nocy piękniej
niż Wergiljusz: «Nox erat et placidum
carpebant fessa soporem», cisza zesza-
ła na lasy i fale — o tej godzinie gwiazdy
dobiegają połowy swej drogi, nieme są
pola, stada, i barwne ptactwo, które ma
swój dom w krzewach i stawach prze-
zrzystych, śpi teraz w cieniu, w milcze-
niu, niepomne trosk...

«Ale serce i oczy nie radują się
spokojem nocy». Bo noc jest duszna, pełna
niepokojów i oczekiwań. Nie zdiwił-
bym się gdyby ptactwo różnobarwne
zatrzętało się niespokojnie w gęstwi-
nie krzewów i zmąciło lśniąca po-
wierzchnię wód, nie zdiwiłbym się,
gdyby za oknem zamajaczył skrwawio-
ny cień Hektora, którego widziałem
w Warszawie.

«Była to godzina, w której sen, słodki
dar bogów, spowija nasze zmysły by
użyć ciępieniu». Warszawa spała sub
nocie. Zdało mi się że szerniawo na-
wet zielone krzaki bzu przed moim ok-
nem na Saskiej Kępie i czarny byd-
most Poniatowskiego, przerezuony nad
południowym zuchwał Skamandrem».

Ach! nie. Tego niema w «Enei-
dzie». Słowa mi się płaczą. W «Enei-
dzie» jest tak:
«Była to godzina, w której sen, słodki
dar bogów, spowija nasze zmysły by
użyć ciępieniu. Wydało mi się nagle,
że widzę smutnego Hektora z oczami
pełnymi łez, Hektora takiego jakim go
widziałem ongi, z czołem we krwi umaz-
zanym i kurzu, z obrzękami od wiezo-
wogami. Jakże zmieniony! Jakże nie-
podobny temu Hektorowi, który ru-
czywszy ogień na flotę Greków, powra-
cał odkryty zbroją Achilla. Teraz odkry-
ty śladami chlubnych ran, które od-
niósł walcząc pod murami swego gro-
du, brodę miał zmierzwioną i włosy zle-
zione krwią. Wydało mi się, że tak jak
i on w łzach tonąc, zwracam do niego
swe smutne skargi: «O chlubię Per-
gamu! opoko Trojan, z jakich to wy-
brzeży przybywasz Hektorze, zdawna o-

czekiwany. Po tylu pogrzebach, po za-
wodach tak gorzkich Troi i jej obroń-
ców — w jakimże stanie Ciebie oglą-
dam. Jakaż to ręka barbarzyńska znie-
ważyła Twoje boskie oblicze i skąd po-
chodzi ta rana?» «Ach, — westchnęło
widziadło na próżne zale nieczułe, —
uciekaj z kręgu płomieni, synu Syre-
ny (2). Wróg jest w murach!»...

Kochany Francesco! Jako potomek
Eneasza wiesz jak trudno jest mówić o
kłesce. Nie każ mi, jak Dido ciekawa,
«renovare dolorem». Pozwól mi mówić
o ostatnich dniach tego królestwa go-
dnego pożalowania («lamentabile reg-
num»). Animus meminisse horet, serce
drży na samą myśl, i gwiazdy scho-
dzące skłaniają do snu...

...svadent cadentia sidera somnos
sed si tantus amor casus cognoscere
nostros — weź do ręki «Eneidę» i cy-
taj:
«Miasto, to istny obraz prerażenia i
rozpaczy, a choć dom Anchisa naubo-
czy stoi i drzewami otoczony — hałas
staje się coraz bardziej prerażliwy i
słychać już straszny szezek broni. Ze
snu wyrwany, biegnę na szczyt pała-
cu i tam nasłuchuję uważnie. Tak —
gdy pożar rozpalony przez wicher, past-
wiska ogarnia, lub gdy potok wartki
spływając z gór, pola zalewa, pustoszy
plony, niszczą nadzieję rolnika i lasy
w swych nurtach gwałtownych unoszą
— pasterz na szczycie skały nasłuchuje
je z zdziwieniem i przyczyni hałasu
docieć jeszcze nie może. Któż potrafi
odmalować potworność tej straszliwej
nocy? Któż skargi swoje z kłeskami na-
szymi porówna? Runął gród prastary!
Tysiące trupów piętrzą się wzdłuż ulic,
na progach domów i świątyni. Żałoba
wszędzie, prerażenie wszędzie i widmo
śmierci. Żelazo dzieła ognia dopełnia.
Ogień żarłoczny wiatrem gnany wno-
si się ku szczytom pałaców i grzący je
w ponurych swych wirach».

III

Oto słowa Eneasza — uchodźcy, rozu-
miesz, kochany Francesco, cierpienia
emigrantów i współczujesz z nimi.

Chciałbym Ci przypomnieć piękna
eklogę Wergilego — czy pozwolisz?

«Meliboios: — O szczęśliwy Titiru-
sie, spoczywając pod wiałem cienistym
wygrzywasz sielskie melodie na twej
piszce — my, wygnani z ziemi ojc-
ów, opuszczamy nasze słodkie sioła, o-
puszczamy ojczyznę! — ty spokojny,
pod gęstwiną liści uczysz lasy powta-
rzać imię pięknej Amarillis. Nie zar-
droszę Ci twego szczęścia. Raczej
mnie twoje szczęście zdumiewa gdy
mam przed oczami obraz owych kłesk
które spadły na naszą ziemię.»

« — O jakże byłem ślepy! jakże
często dąb rażony piorunem przepro-
wadził mi owo nieszczeście; nieraz z
głębokości spróchniałego pnia mówiła mi
o nich wrona złowróżbna.»

« — Pójdziemy. Jedni do Afryki
skarwanej, drudzy do kraju Sycylii, na
Krete lub do Bretanii na krańce świata.
Czyż będzie mi wolno kiedyś po dłu-
giem wygnaniu powitać w uniesieniu
rodzinne pola, uboga strzechę mojej
chaty dźwiżyć wśród kłosów, które by-
ły moim królestwem. Żodak nieudzi-
ki dźwiżyć będzie tę żyzną rolę! Bar-
barzyńca bierze plon! Dla niego ob-
stałem moje ziemię! Idź teraz szcze-
pić twoje gruze, o Melitocucie, idź podci-
nać winnice. Idźcie kozy, idź moja
trzedo ongi szczęśliwa! Spoczywając
pod zielonym sklepieniem nie będę was
— zawieszonych na zbrozu krzewami
porosłej góry — gonili oczami. Odtąd
już koniec pieśniom.»

«Titirus: — Możesz tu przecie
spędzić jedną noc na zielonym listwiu.
Podostatkiem mam owoców dojrz-
łych, kasztanów i mleka» (3).

Dziękuję Ci, gościnnie Titirusie.
Dziękuję Ci, przejmij Francesco, za
Twój list.

IV

«Umiej pisać piurem wiesz» —
donosisz mi w twoim liście. Oto piękna
umiejętność! Pielegnij ją, kochany

Francisco! Sztuka pisania coraz to
rzadsza i niezyciwy czas grozi jej u-
padkiem. *Pisz piurem*, kochany Fran-
cesco. Słowa pisane mieczem nie są
trwałe. Pióro i zeszyt, to prawdziwe
fundamenty prawdziwego mocarstwa.
Czy nie sądzisz, że na szczytach «mo-
carstwowości» stanęła twoja ojczyzna
wtedy, kiedy pod panowaniem mądrego
władcy Wergili stawił pokój,
pascua, rura, nie szcedząc pochwał
«pobożnym wodom»? Czyż dzieło św.
Augustyna nie jest najpotężniejszą
«ekspansją kolonialną»? Nie śmieję się.
Rdza strawiła miecze, ale ani wiatr nie
zniszczył pomnika Horacego ani bezsil-
ne strugi deszczu. Oto rzetelne świ-
adectwa mocarstwowości i ekspansji
imperialnego dynamizmu! Były i wów-
czas dyplomatyczne i ekonomiczne wy-
biegi a ziemia drżała, deptana żelaz-
nymi stopami rzymskich legionów. Zsa-
rzały dzieje dyplomatycznych podste-
pów, zatarły się w pamięci zbiorowej,
a sławę swoją zawdzięcza Cesarz nie
czynom wojennym ale składni. Wielu
było wodzów rzymskich, wielu zdo-
bywców, któż potrafiłby wylizywać ich
nazwiska? Toną w niepamięci! Ile wo-
jen było, ilu wodzów, w latach ciem-
ności i upadku, kiedy św. Augustyn
zamknął oczy. Nikt nie zna ich naz-
wisk, bo żaden z nich nie umiał pisać
tak pięknie jak Cesarz. Nie trwał są
działe wojen — trwała jest składnia
łacińska. Więc ciesz się, że piszesz pió-

rem w zeszycie.
Przed paru laty, w Paryżu, otrzyma-
łem list pisany przez jednego z mych
przyjaciół. «Niech się Pan nie troszczy
o przyszłość kultury, — pisał, — kultu-
ra zawsze zwycięży, bo ludzkość nie
może znaleźć szczęścia bez znajomości
łacińskiej gramatyki. Przyjdzie taki
czas gdy westchną władcy: «tylu ludzi
zabiliśmy, tylu ludzi zamknęliśmy w o-
bozach koncentracyjnych, a nie smaku-
jemy nam kawa po obiedzie, bo nie
znamy łacińskiej gramatyki».

Jeśli więc i toba, jak wszelkimi stwo-
rzeniem, kochany Francesco, rządzą
pragnienie szczęścia, powtarzaj: rana,
rana, rana, rana, rana, rana. Po-
znaj zawziętość zdań czasowych: ubi, ut,
ubi primum, ut primum, simul, simu-
lac, simulaque, dum, donec, quoad, an-
te quam, priusquam, cum... A przede-
wszystkiem poznaj się ze strukturą
zdań warunkowych aby w nich nie było
miejsca na oszustwo, na szantaż, na
kłamstwo.

V

Gramatyka łacińska istnieje poza
czasem. Można wrócić do gramatyki
łacińskiej nie mijając wieków, które
ubiegły. Gramatyka łacińska jako
przedmiot idealny istnieje zawsze.

Niema drogi powrotnej do Imperjum
Rzymskiego. Idąc przez wieki wstecz
do cesarstwa, które było, nie można o-

minać św. Pawła — nie spojrzeć w
straszliwą twarz skażoną. Struga krwi,
która ścieka z jego odciętej głowy, wy-
znaczyła nieprzekraczalną granicę w
dziejach twojej ojczyzny. Gdybyś
chciał lekkomyślnie przekroczyć tę ka-
łużę krwi, zastanów się: droga, na któ-
rąbyś wstąpił, prowadzi do piekła.
Twój rodak, Francesco, cesarz Julian
Apostata, który w drodze powrotnej
idąc do zmarłego imperjum ośmielił się
przekroczyć tę granicę, upadł przebity
włócznią św. Merkurego. Jego krew
wsiąkała bez śladu w jałowy piasek
wschodniej pustyni. Tragedja djabła
leży w tem, że djabł nie tworzy —
djabł tylko *nasładowe*. To on, zagro-
żony osamotnieniem w swojej bezile
twórczej, chce ludzkość prowadzić
wstecz przez wieki do stanu grzechu.
To on zaludnia wyobraźnię zbiorową
wizjami brodatych germańskich bo-
gów, to on wsieka między palce wlad-
ców miedziarzy pieniążek z zatartym
profilom rzymskiego cesarza — mówi:
«Spójrz! spojrz w pieniążek miedziany
jak w lustro... jakże jesteś do niego
podobny... twój zarys nosa... twój m-
ocny podbródek... twoje czoło... To Ty!
Bądź tym który był. Chodź! zakryj
Ci oczy aby nie patrzył w twarz rzy-
mskiego skażonego, św. Pawła. Naprawdę!
dwa są sposoby walki — prawem lub
siłą. Pierwszy właściwy jest ludziom,
drugi — zwierzętom; ponieważ pierw-
szy nie zawsze wystarcza, musimy
ucieć się do drugiego».

Działaj jak zwierzę! «...władca musi
działać wbrew uczuciom ludziom,
wbrew liłości, wbrew religii»...
Idź! idź krokiem rzymskim przez
kałużę krwi, która przedzieliła historję
twojego narodu!
Djabł ma zapadłe policzki, smutne
niespokojne oczy i zmierzwioną brodę.
Czy wiesz, kochany Francesco, że byli
ludzie weale trotopni, którzy nazywali
Machiavela prawdziwym djabłem?

Ach! kochany Francesco — jeśli ci
każa na lekacjach gymnastyki maszero-
wać krokiem rzymskim — zmył krok!
Stwórz nowy ruch! Stwórz nowy ruch!
Jeśli potrafiś przewyżczyć *latwość
nasładowania*, jeśli potrafiś stworzyć
nowy, twój, ruch ręki, nowy, twój, ruch
nogi, będziesz tworząc godnym tych
którzy podpatrzyli ruch Hermesa zapin-
ającego swój sandał. Bądź twórcą,
Francesco, nie nasładowuj kroków rzy-
mskich wojowników na lekacjach gimna-
styki, bądź sobą i chodź własnymi
ścieżkami — na tych drogach nie spotka-
sz kałużę krwi wylanej za prawdę i
«dla odnowienia umysłu waszego»,
jak pisał św. Paweł do Rzymian.

Pisz o piekle i djablu bez obawy, że
odpowiesz mi wzruszeniem ramion:
jesteś dzieckiem i dlatego jeszcze u-
miesz myśleć poważnie o rzeczach osta-
tecznych. Ale w twojej dziecinnej wyo-
braźni djabł ma, jak sądzę, postać
rogiatego, koźłonogiego potwora. To po-
pularne i sugestywne wyobrażenie da-
lek jest jednak od ohydnego pierwo-
zoru. Spójrz na papuge, Francesco,
spójrz w jej starca, smutna, niemal
ludzka twarz. Czy nie przejmując się
grozą to monotonne zgrzytliwe echo
twoich słów, czy nie przeraża cię ten
żywy automat który umie tylko *nasła-
dować*? To on! To jego karykatura. To
obraz tego tworu, który umie tylko od-
twarzać. Jego ponury gwizd znaczy
rytmy «rzymskiego kroku», który pro-
wadzi w przeszłość, w nicotę, między
zapadłe groby dawnych wojowników,
między stopy żelazniwa, mieczy strawi-
onych rdzą i strzaskanych hełmów.

Powtarzam: niema drogi powrotnej
do cesarstwa rzymskiego. Struga krwi,
która spłynęła ze ściennej głowy oby-
watele rzymskiego, św. Pawła, wyznaczy-
ła nieprzekraczalną granicę w dziejach
twojej ojczyzny.

VI

Niema powrotu w historycznym roz-
woju narodów, podobnie jak niema
powrotu w rozwoju jednostki. Cena,
która Faust zapłacił za powrotną m-
dość, była — nie wątpisz chyba o tem
— stanowczo za wysoka. «Nie chciał-
bym ponownie zaczynać życia — mó-
wił rozważnie stary Kato, — podobnie
jak szybkiogaz, który z mety z tru-
dem osiągniętej nie chce być odwołany
na start».

Młodość, to «Primavera», to świe-
żość róż włoskich prymitywów, to zie-
leń wzgórz, które patrzyły na męczeń-
ską śmierć Kosmy i Damjana. Tylko
raz kwitną kwiatki św. Franciszka,
twojego patrona. Ale szczęśliwy kraj któ-
ry miał taką młodość, taką wiosnę —
może teraz oczekiwać w spokoju wizy-
ty niebian, którzy nawiedzili dom sę-
dziwego Philemona i czcigodnej Bau-
cis.

Czy pamiętasz tę legendę atejską
Owidiusza:

Dicite iuste senex, et femina conjuge iusto
Digna quid optetis? Cum Baucide pauca
locutus
Iudicium Superis aperit commune Phile-
mon:
Esse sacerdotes, delubraque vestra tuere
Poscimus...

Szczęśliwy Philemon! Szczęśliwa
Baucis! Szczęśliwi starcy, którym Bóg
powierzył straż swej świątyni. Oto na-
groda za piękną starość: kapłaństwo
zamiast smutnej «posady» kościelne-
go diaka.
Czy nie myślisz że starość jest czemś
pięknym i godnym szacunku? Ile pię-
kna, ile godności w spokojnej dumie
starca! Trzeba tylko cenić swój wiek i
umieć go nosić. Jakże wstępną byłby
w oczach Katona starzec, któryby dla
opieczowania młodości włożył krótkie
majtki i nasładował niesforne ziele-
nionych lat — za róg ulicy wybiłaj
z procy szyby sąsiadom. Nie wierz tym,
którzy mówią o dynamizmie, ko-
chany Francesco. Czy nie widzisz w tym
«dynamizmie» czegoś sztucznego, pa-
pierowego nasładowania młodości, czy
nie widzisz strachu i pośpiechu bez-
bożnego starca, który zna granice ludz-
kiego życia a nie widzi innego życia
poza tem jakie prowadził na ziemi?
Oto zachłanna łapczywość weneckiego
kupca i przewrotność złośliwego Vol-
pone, rozmiłowanego w ziemskich ra-
dosiach. Czy nie myślisz że w star-
czym niepokoiu, w gorączkowym szu-
kaniu minionej młodości jest coś z
prerażenia tego wiekowego filozofa-
teusza, o którym nierozsądni kazno-
dzieje opowiadają, że w chwili zgonu
wypił zawartość nocka? Nie wątpię,
kochany Francesco, że wolałbyś cyk-
te, którą Sokrates wychylił z takim
spokojem, myśląc już o tych których
spotkał w zaświatach. Więc nie wierz
tym, którzy mówią o «dynamizmie» i
schlebiają grzechom twej młodości:
jest to fałszywy pieniąż — nawet Cha-
ron go nie przyjmie za przewóz duszy
na tamten brzeg.

VII

O ile cieszy mnie twoja umiejętność
pisania piurem w zeszycie, o tyle —
przynajmniej — niepokoi mnie twoje zain-
teresowanie *globusem*. «...mam 40 lirów
zbieram na globus» — piszesz. Czyż-
byś myślał o nowych podbojach, synu
Marsa? Nie znajdziesz przecie na ku-
listej mapie mrocznych dróg, które
sunie łódź Charona. Wracam, jak wi-
dzisz, uporczywie do tego ponurego
zeglaza, bo żywa wyobraźnia eschat-
ologiczna twojego narodu tli się zapewne
i w tobie i każe ci myśleć nieustannie
o rzeczach ostatecznych.

Ale — skoro taka już wola — spojrz:
oto twoja ojczyzna! W tym bucie
ogromnym Eneas wkręcił się śmiało
do państwa cieni — jego to zasługa jest
spiritualizacja zaświataw, które Homer
pojmował jeszcze empirycznie. Jest to
magiczny but, i Dante spacerował w
nim po piekle, czyśćcu i niebie. Jakże
blisko do nieba z twojej ojczyzny!
Twój rodak, Kolumb Genueńczyk, od-
krył Amerykę, ale szukał... *raju* i dla-
tego butem siedmiomilowym umiał
przekroczyć ciemne wody Atlantyku.
Spójrz na twoją ojczyznę, Francesco!
Ję wielkości nie da się zmierzyć sumą
kilometrów kwadratowych które obej-
muje Imperjum. Wielkość bowiem
prawdziwa nie jest natury empirycznej,
wymiernej — *wielkość wymierna jest
zawsze mała*.

Spójrz na twoją ojczyznę, Frances-
co, spojrz na magiczny but: djabł os-
trogi przypina do zielonych, w morskiej
pianie skąpanych obcasów — djabł
obcasami trzaska, kurz bitewny
wzbija nad ziemią, ziemie rzymskim
krokiem depcze, hałasuje po zaświa-
tach i poszy cienie twoich przodków.
Djabł w magicznym bucie idzie do
bram niebieskich i rozdiera ostroga
błękitne sklepienie.

W najbliższych numerach «Wiadomości Polskiej» drukować będą m. in.:
Franciszka Biedarta «Rzeźba Augusta Zamoyskiego», Marji Da-
niewiczowej «Francja poznaje Norwida», Zbigniewa Grab-
owskiego «Polska naszych pragnień», Juljusza Grota «Arthura Rimbaud
podróż do piekieł», Wacława Grzybowskiego «Książę: zagadnienie postać»,
Oskara Haleckiego «Trzy pomniki ustroju staropolskich», Marjana Ku-
kiela «Napoleon a dzień dzisiejszy», Marji Kuncewiczowej fragment po-
wiesci «Mqz Róży» («Śmierć Krzysztofowicza»), Janusza Laskowskiego
«Rozgrywka wojenna Kremlu», Jana Lechonia «Poezja czysta w poezji pol-
skiej», Bolesława Leitgebiera «Londyn i jego Tamiza», Stanisława Mackie-
wicz «Generał na czarnym i generał na białym koniu: Michał Dmitr-
jewicz Skobielew», Zygmunta Nowakowskiego «No Parking» (cykl listów z
Ameryki), Ryszarda Ordynskiego «Gen. Sikorski na froncie w r. 1920», Mi-
chała Potulickiego «O metodzie badań ustrojowych», Hermann Rausch-
ninga «Zwierzenia Hitlera», Geneviève Tabouis «Przysłą Polska» (arty-
kuł napisany specjalnie dla «Wiadomości Polskich»), Jeremiego Wasutyń-
skiego «Pieszko przez raj» (fragmenty wspomnień z podróży do Genlandji).

STANISŁAW ESTREICHER

U KOŃCA*)

Zacięta toczy się wojna —
Lecz nie ta, co gdzieś daleko
Wybuchła bombami zbrojna
Nad Żółtą Chłięczyków rzeką.

Wojna co wszystkich jednoczy
I uszczępli w nią są wpłatani...
Lecz nie ta, która się toczy
Na krwawych polach Hiszpanji.

W wojnie tej równa zwycięstwo
I równie ona jest krwawa...
O duszy toczącej się świętość.
O Boże do życia prawo.

Oto, czy dusza to cząstka,
Co dąży za Bóstwem w ślady?
Czy tylko marna gałzka
Na wielkim drzewie gromady?

O to, czy ślepy to atom,
Czy raczej „Boża odnoga“?
I czy nie lepiej jest światom
Im bardziej ona uboga?

*) Z teki pośmiertnej ś. p. prof. Stanisława
Estreichera otrzymujemy niniejszy
wiersz. Znany uczyony polski w wol-
nych chwilach zajmował się poezją. W ciągu
ostatnich lat życia dokonał tłumaczenia
„Fausta“, które pozostał w rękopisie.
Wiersz, jakby w przeczuciu tragicznej
śmierci w niemieckim obozie koncentra-
cyjnym, napisany został w r. 1937 dla
wnuka.

Czy wszystkim powkładać trzeba
Mundury koloru ziemi
I kazać zaniast do nieba
W takt maszerować z innymi.

Czy można strumień odwrócić
I w martwe morze wrzesztalczyć?
I całą przeszłość odrzucić
I całą wolność pogwałcić?

Zołnierze w tej wielkiej wojnie,
Co się już toczy przez lata,
Czyż możem umrzeć spokojnie
Bez twógi o przyszłość świata?

Nadzieje pełne życzenie
Niedarmo w sercu gdzie błyska,
Ze przeciecz nasze dążenie
Potomności wypetni bliska.

Ze syn mój i moje wnuki
W męskiego czynu godzinie
Tej nie zapomną nauki,
Co z naszych doświadczeń płynie.

Że za ten, który ich uczył
Dorobek mego żywota,
Piotr Święty złotym mi kluczem
Niebieskie otworzył wrota.

STANISŁAW ESTREICHER.

Kraków, dn. 27 września 1937 r.

(1) List Francesca:
«Kochany bolku hec zobaczyc tfoja cu-
reczke. Byłem w parku zoologicznym i
mam 40 lirów zbieram na globus. Byem u
Papieża. Chodzę do szkoły i tam jest kino
i teatr. Umiej pisać piurem wiesz», —
Całuję wszystkich: — Francesco — Rzym».

(2) W oryginalnej jest «synu bogini», ale
Synena jest w herbie Warszawy.
(3) Nie szukaj tu aluzji politycznych.
Meliboios nie jest Niemcem wygnanym z
Tyrolu. Jest to albo Żyd-wieczny tułacz,
albo Polak-wieczny emigrant.

Przypominamy że czas odnowić prenumeratę (we Francji fr. 35.—) za miesiące **czerwiec, lipiec i sierpień** b. r.

STANISŁAW MACKIEWICZ

GENERAL NA CZARNYM I GENERAL NA BIAŁYM KONIU GEORGES BOULANGER^{*)}

Mój artykuł,
Parylewiczowa i salon
pani Adam

W swoim czasie ogłosiłem w «Słowie» artykuł o przyczynach ustąpienia w r. 1887 prezydenta Republiki Francuskiej Jules'a Grévy. Artykuł ten przyjęto jako szereg nieuczynalnych aluzji. W Polsce aktualna była wtedy sprawa Wandy Parylewiczowej, «Wandy co nie chciała śledztwa», jak pisa-

genjalnego, z jakimś awanturczym gen. Boulanger. Otóż Boulanger nigdy oczywiście awanturkiem nie był, wprost przeciwnie, grzeszył przesadą w ostrożności i opanowaniu. Boulanger był jednym z najgorętszych zwolenników sojuszu Trzeciej Republiki z Cesarstwem Rosyjskim, a po stronie rosyjskiej znowu najgłośniej propagował chęć anty-niemieckiego i antyangielskiego sojuszu z Francją gen. Michaił Dymitrijewicz Skobielew. Pośrodku obu generałów stał salon pani Adam. Wyobrażamy sobie ten salon w

wiańskim szarmem, jego wojennymi opowiadaniem, jego znakomitą francuszczyzną «bez akcentu». Pani Adam nabrała takiej admiracji dla Rosji i duży słowiański, że aż o jej zamierzonej podróży nad Nową Związką Aleksandra III w słowach ostrożnych baron Mohrenheim, ambasador subdyktujący prasę francuską i odrobinę zamieszany później w skandal panamski. Pisał: «Tutaj komentują, nie wiem czy prawdziwa, wiadomość, że Jej Cesarska Mość Najjaśniejsza Pani ma udzielić audjencji znanej w tutejszych kołach politycznych pani Adam». Aleksander III, nie używający nigdy żadnych okrągłości stylistycznych, napisał na marginesie raportu: «Moja żona i nie dumając prynimając takuju licznost'» («Mojej żonie nawet w głowie nie powstało przyjmować podobną osobistość»).

Obydwaj więc generałowie byli apostołami braterstwa swych krajów. Zawsze tentowała mi myśl napisania ich monografii. Boulanger na sławnej rewidacji dn. 14 lipca 1886 r. ukazał się na czarnym wierzchowcu Tunisie. Skobielew szukał zawsze białych rumaków, na których latał wśród kul, i stał miał przezwisko wśród żołdatów «białego generała». Chciałem więc napisać monografię «Generał na czarnym i generał na białym koniu», z którego to tytułu tak się wyśmiała Adzio Bocheński. Zbierałem do tego materiały. Mia-

tego ani tamtego, ks. d'Aumale jest niezem.

Ks. d'Aumale był jednak dziekanem korpusu oficerskiego. Pięknie się zachował jako przewodniczący sądu sądującego marszałka Bazaine'a. Cieszył się pewną popularnością. W odpowiedzi na oklaskiwane przemówienie ministra Boulanger, ukazał się w prasie list tegoż Boulanger'a do tegoż ks. d'Aumale, datowany sprzed kilku lat:

«Wasza Wysokość przedstawiła mi na generała, Waszej Wysokości zawdzięczam tę nominację. Będę zawsze dumny z tego że miałem takiego wodza, i błogosławiony niech będzie ten dzień, który mnie z powrotem powoła pod rozkazy Waszej Wysokości. Racz Dostojny Panie przyjąć zapewnienia mego głębokiego i pełnego szacunku przywiązania.
Generał Boulanger».

Cios był dotkliwy. Boulanger próbował zaprzeczyć autentyczności listu. Ogłoszono fotografię. Boulanger przestał protestować. Popularności jego to nie szkodziło.

Boulanger a Rydz

Boulanger był oficerem, który się bił w kilku wojnach, uczestniczył w wyprawach kolonialnych w Afryce północnej i w Indochinach. Przed swą nominacją był dowódcą sił zbrojnych w Tunisie i tam robił aforyt rezdyntent francuskiemu; był nim Paul Cambon, późniejszy słynny ambasador Francji w Londynie, którego na ten stanowisko zastał wybuch wojny 1914 r., jedna z najwybitniejszych figur dyplomacji europejskiej. Stosunek gen. Boulanger do tego zwierzchnika władzy cywilnej w Tunisie przypomina mi trochę stosunek Rydza do wojewody Romana w Wilnie, któremu Rydz także nie stąd ni zowąd robił jakieś głupie afronty. Boulanger w Tunisie był krzykliwym patriotą. Zdarzyło się, że śpiewaczka w kabarecie odsunęła nogą bukiet kwiatów rzucony jej przez francuskiego oficera, a natomiast schyliła się i włożyła sobie za stanik kwiaty

najzdolniejszy ze znanych mi dziennikarzy (poza może Bismarckiem lub Napoleonem, gdyby ci chcieli być dziennikarzami) — popierają gen. Boulanger. Ale oportunisty rządzący Francją mają go dosyć. Uważają że stał się on osi demagogii uniemożliwiającej rozsądne rządzenie państwem. Zniechęca się do niego także Clemenceau. Boulanger przestaje być ministrem, i nowy minister wojny Ferron mianuje go dowódcą korpusu na prowincji. Cały Paryż odprowadza generała na kolej. Publiczność kładzie się na szynach przed lokomotywą. Ale sprytnemu prefektowi policji udaje się namówić gen. Boulanger, aby wysiadł z pociągu, wsiał na jakimś lokomotywie, i tak wywożą go cichaczem z Paryża.

Popularności gen. Boulanger nie jest w stanie zaskodzić tak jak u nas popularności niemądrego Rydza. Zdarzyło się, że miał pojedynek z Floquetem, tym samym, który zawołał w Pałacu Sprawiedliwości na widok Aleksandra II: «Niech żyje Polska, mój panie!» («Vive la Pologne, Monsieur!»). (Zdaje mi się, że prawidłowo oddaje intencję tego okrzyku, tłumacząc w danym wypadku wyraz «monsieur» przez «mój panie» t. zn. przez formę, która po polsku ma odwień wyzywającego lekceważenia). Z tym samym Floquetem, który się później tego okrzyku zapierał, pisał unione listy do Petersburga, gdy chodziło mu o nominację na prezesa rady ministrów i o to, by Rosja się temu nie sprzeciwiała. Z tym samym Floquetem, którego później dogruntu ośmieszyła i skompromitowała Panama. Otóż ów Floquet, adwokat i polityk, bije się na szpady z gen. Boulanger i ciężko go rani. Ale popularności generała nie szkodziła nawet rana zadana mu przez cywila.

Koło generała pojawiają się łącznicy, jeden od rojalistów, drugi od bonapartystów. I cóż: generał-radykał, generał od wypędzania książąt z armji, w kilkanaście miesięcy po swojej moście przeciwko książętom obiecuje restaurację monarchji, oświadcza emisariuszom rojalistycznym, że osadzi na tronie hrabiego Paryża, Gorzej: Boulanger jedzie do księcia Napoleona do Szwajcarii i obiecuje mu to samo. Nadal jednak będzie publicznie wzywał do obrony republiki, zapewnając monarchistów, że tak będzie chytrzej. A tego jednak czasu ruch jego finansowany jest przez księżną d'Uzès, jejmość bardzo swoistego gatunku, i cały bulanżyzm opiera się na rojalistycznych, prawicowych i katolickich pieniądzach.

Punktem kulminacyjnym bulanżyzmu będzie dzień 27 stycznia 1889 r. Boulanger był już wiele razy wybierany na posła do parlamentu, zrzekał się mandatu i t. d. Ale oto otwart się wakans w samym Paryżu. Boulanger podjął rękawicę. Popiera go lewica, radykałowie, częściowo socjaliści, a półjawnie, jawnie i pocihu — także prawicowi rojaliści, bonapartyści i klerykałowie. Partje republikańskie jednoczą się przeciw tak sformułowanemu bulanżyzmowi. Boulanger staje się synonimem antyparlamentaryzmu.

A ponieważ wiemy, że wszystkie zjeżdżeni szwankują zawsze gdy chodzi o strony osobiste, wszelkie uzgadniania polityczne uzgadniają się zawsze na jakimś człowieczku małym, jakiejś indywidualności niepozornej, więc i teraz obóz — jakby u nas powiedziano — republikański, uzgadnia się na osobie niejakiego p. Jacques. I oto cały Paryż, bo cały Paryż jest bulanżystowski, śpiewa tę piosenkę, która i ty znasz, czytelniku, i być może, śpiewałeś ją w dzieciństwie:

Frère Jacques
Frère Jacques
Dormez vous
Dormez vous
Bim bam bom
Bim bam bom

Kandydat Jacques, dyktator z zawodu, chce przemawiać na wiecu rządowo-republikańskim. Figury dostojne w pierwszym rzędzie, a oto całe audytoryum śpiewa:

Frère Jacques
Frère Jacques

Biedny Jacques nazywany jest «kandydatem o drewnianym łbie» albo jeszcze gorzej — «muet de sérails», lekceważenie jego osoby udziela się także popierającemu go politykowi. Na jeden wiecu, gdy Jacques chciał wstawić coś od siebie, impulsywny Clemenceau ryknął na całą salę: «Co to pana obchodzi». Zebrańce kończy się niesłychany tryumfem bulanżystów.

Jest dzień 27 stycznia 1889 r. 11 wieczór, 51 lat temu. Tam gdzie teraz mieści się agencja turystyczna Cooka, na place Madeleine, była restauracja Duranda, a w niej siedział Boulanger ze sztabem. Rojaliści także się zjawili. Place Madeleine, Concorde i przyległe ulice zalane były tłumem, który wzywał: «Do pałacu Elizejskiego!» Mamy z tamtych czasów najbardziej autorytatywne, najbardziej wiarogodne świadectwa ministrów, prefekta policji i innych osób, że gdyby wtedy Boulanger wyszedł z restauracji i pojechał do pałacu Elizejskiego, zamach stanu byłby

dokonywany bez jednego strzału. Miał więc pozycję stokroć lepszą niż Napoleon I 18 Brumaire'a, niż Napoleon III 2 grudnia. W koszarach paryskich żołnierze wznoszą tej nocy okrzyki: «Vive Boulanger!». Policja była po stronie gen. Boulanger. Ci wszyscy którzy są naokoło gen. Boulanger, proszą go, namawiają. Ale on się umówił ze swoją kochanką, wicehrabiną de Bonnemains, na randkę. Wymyka się na czwarte piętro i stamtąd znika. «Go dzina dwunasta minut pięć, — powiedzina Thievand, ten który pośredniczył między gen. Boulanger a księciem Napoleonem, — panowie, od pięciu minut bulanżyzm jest w bessie».

Fluctuat nec merditur

Ministrem spraw wewnętrznych był wówczas p. Ernest Constans, człowiek, który jak to mówią Moskale, przeszedł przez «ogień, wodę i miedziane rury». To rosyjskie określenie tem jest w danym miejscu właściwe, że p. Constans za czasów młodości pracował w Barcelonie w domu handlowym, który wyrabiał «pompa locomobil para estrador la immundicia de las latrinas», krótko mówiąc — w pompach wodnych używanych w klozetach, co dało później okazję Rochefortowi do propozycji, aby Constans obrał sobie za dewizę zdanie brzmiące «Fluctuat nec mergitur» («Płynię lecz nie zatonię») i otacza herb Paryża, przedstawiający okręt na spienionych falach. Rochefort proponował, aby Constans zdecydował się na hasło: «Fluctuat nec merditur». Później ten Constans został gubernatorem w Indochinach i urósł w fortunę. Był jednym z ministrów znających się na delikatnych operacjach politycznych.

Otóż Constans poprostu wystraszył gen. Boulanger z Francji. Codziennie zjawiał się do generała kto inny i opowiadał mu, że rząd przygotowuje jego aresztowanie. Generał nie chciał siedzieć w więzieniu. Zabrał się z panią Bonnemains, przebrał się i uciekł do Belgji. «To niekwestionowane!» — wołali jego zwolennicy. Na obronę gen. Boulanger powiemy, że z pola walki na wojnie nie uciekał nigdy.

Paralela pomiędzy bulanżyzmem a obozem Marszałka Piłsudskiego

Istnieje pewne podobieństwo formalne pomiędzy bulanżyzmem a B. B. W. R.

Otóż bulanżyzm był także obozem antyparlamentarnym, obozem wymyslanym parlamentarnym gadulom, a niektóre argumenty bulanżystów powtarzały za naszych czasów Kazimierz Switalski i in. Również owo połączenie dyktatorów i monarchistów, owo połączenie tego co było na lewo od istniejącego wówczas we Francji régime'u z tem co było na prawo, przypomina konstrukcję B. B. W. R. Przeciwnicy centrum z prawa i z lewa, ci francuscy, z drugiego dziesiątka lat Trzeciej Republiki, Sapięha i Sanojca, znaleźli się tam obok siebie. Ale oto słusznie powiedziano: «Najślabszą pozycją bulanżyzmu jest sam gen. Boulanger». Odwrotnie, w obozie Piłsudskiego jedną prawdziwie cenną pozycję stanowił sam Piłsudski.

Margueritte i Georges

Pani de Bonnemains, kochanka gen. Boulanger, zachorowała, umarła i pochowana została na cmentarzu w Ixelles w Brukseli. W dwa miesiące później Boulanger zastrzelił się na jej grobie. Na kamieniu kazał wyryć tylko imiona: Margueritte i Georges.

List pośmiertny generała godzi nas z nim trochę: «Zabiję się jutro, nie mogąc znieść egzystencji bez tej, która była jedyną moją radością, jedynym szczęściem całego mego życia. Przez dwa i pół miesiąca zmagalem się z sobą, ale oto dzisiaj jestem wyczerpany. Nie mam wielkiej nadziei że ją zobaczę — ale kto wie? Co najmniej odejdę w nicość i nie będę już cierpieł!».

Clemenceau powiedział: «Gen. Boulanger umarł jak żył, jak podporucznik».

Zywimy więcej szacunku dla miłości do kobiety.

Boulanger jako polityk gorzej wygląda w naszych oczach. Przedewszystkiem od kiedy stanął na czele bulanżyzmu, był tylko pajacem poruszonym przez wielu ludzi. Sam robił jedno: kłamał za wszystkich.

Wykazał dużo lekkomyślności, fanfaronady, sędził za demagogią, nie obdziwił się w nim nigdy poczucie prawdziwej odpowiedzialności. W wielu wypadkach przypomina mi Rydza.

STANISŁAW MACKIEWICZ.

*) W jednym z najbliższych numerów «Wiadomości Polskich»: «Generał na czarnym i generał na białym koniu»: Michaił Dymitrijewicz Skobielew.



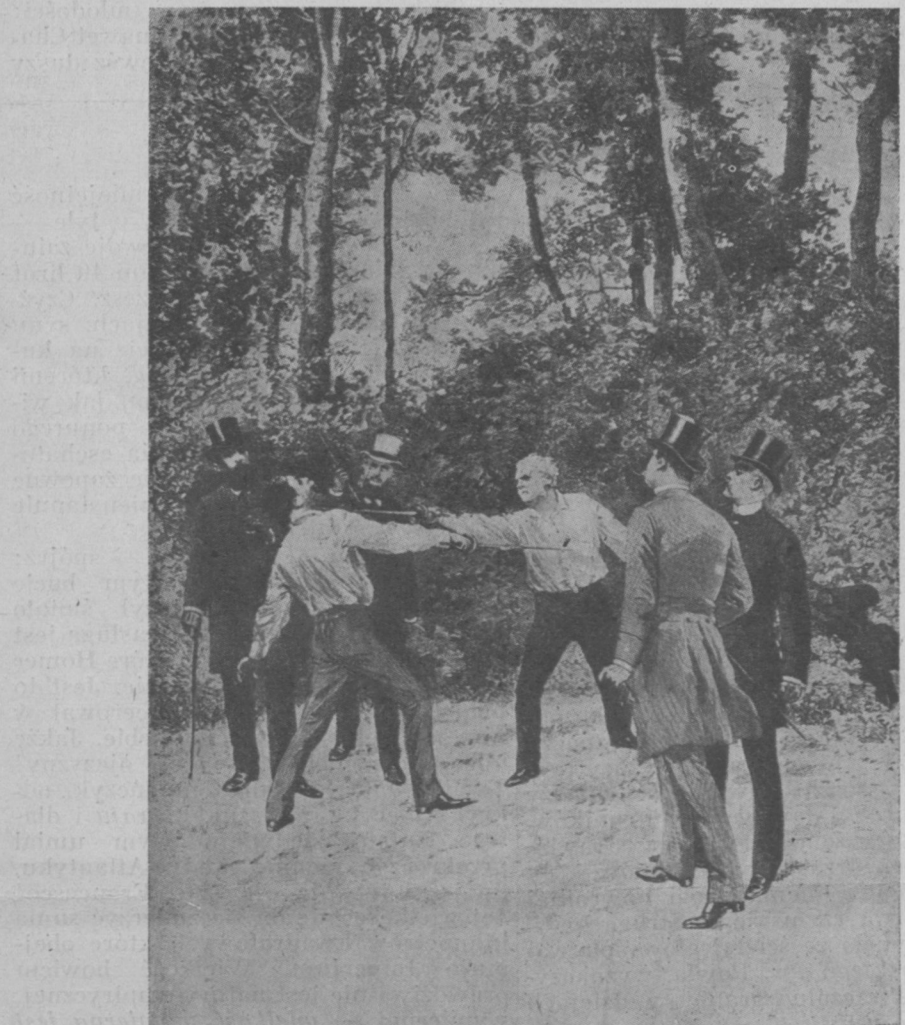
Generał Boulanger
portret Debat-Ponsana



Pani de Bonnemains

tem po jej zagadkowym zgonie, a tu w moim artykule wszystko zaczynało się od lady Limousin, która za pieniądze umiała przenosić urzędników z gorszej na lepsze posady. Potem opisywał prezydenta Grévy, jak lubił rodzinę i pieniądze, i jego zięcia, jak wyzyskiwał sytuację teścia, jak puszczał się na różne afery. Wspominałem też o gen. Georges'u Boulanger, aspirancie na dyktatora Francji w tamtych czasach, objaśniając że są na świecie dwa rodzaje dyktatorów: jedni którzy dyktaturę biorą sobie sami, inni którym cały chór śpiewa od rana do wieczora: «on jest dyktatorem, on jest

Paryżu, umeblowany bez smaku w tych czasach kiedy architektura wnętrz tak razi nas swoimi aksami, portjerami, mnogością małych przedmiotów i niewygodnych mebli — salony wówczas wyglądały jakby specjalnie były przeznaczone na konserwowanie, wciąż więcej ilości pyłu, a elektroluxów jeszcze nie znano. Otóż o salonu pani Adam musi się otrzeć każdy, kto się zajmuje polityką, sztuką, literaturą pierwszych dwóch dziesiątków lat Trzeciej Republiki. Tutaj omawiano kwestje likwidacji kultu «wielkiego architekta» w lożach masonskich. Tutaj bywał Gambetta jako przyjaciel do-



Pojedynek Floqueta z generałem Boulanger
według «L'Illustration»

dyktatorem», a jednak w końcu końców nie z tego nie wychodzi. Oburzył się bardzo na to tygodnik «Zaczyn», organ dla półinteligentów z rządu, i oświadczył, że «my» (kto to byli ci «my», nigdy bliżej mimo moich nalegań sprecyzowane nie zostało) «nie pozwolimy porównywać naszego wodza», naszego... mądrego, świętego

mu, przyjaciela męża i jeszcze większy — żony. Tutaj zaczęło Gambette podejrzawać, że flirtuje z Bismarckiem. Tutaj rodziła się nienawiść do przyjaciółki Gambetty Leonji Léon. Tutaj nienawidzono Niemców i Anglików, tutaj zrodziła się myśl o sojuszu z Rosją i tutaj zachycano się Skobielewem, jego słowiańskimi oczami, jego sło-

tem dziesiątki tomów o Skobielewie i gen. Boulanger. Niestety, moja biblioteka jest ode mnie daleko. Projekt opracowania naukowego niemożliwy do zrealizowania, piszę więc ten szkic, posiłkując się tylko pracami pp. Dentsetta i Knorriga. Ale zestawienie tych dwóch generałów istotnie jest nader pociągające. Obaj byli bardzo odważni i popełniali akty tchórzostwa fizycznego, obaj byli pierwszymi autoklamiarzem i od czasu do czasu kompromitowali się znakomicie. Obaj byli kochani przez naród, stawa gen. Boulanger biegła przez miasta francuskie i wszystkie kraje europejskie, sława Skobielewa, zrodzona w Turkiestanie, zadźwięczała na Bałkanach, biegła przez wsie rosyjskie, doszła do brzegu oceanu Spokojnego. Obu obserwował spod nawisających siwych brwi wielki Bismarck. Boulanger zastrzelił się na grobie kochanki, Skobielewa szlak trafił w domu publicznym.

Początki bulanżyzmu

Boulanger jest czemś pośrednim pomiędzy Napoleonem a dyktatorami XX wieku, z tą jednak różnicą że Napoleon panował, dyktatorzy XX wieku byli dyktatorami, a Boulanger tylko mógł być dyktatorem, ale nie został nim z własnej woli. Była to więc próba białego dyktatorstwa. Boulanger rozpoczął karierę jako generał mocno lewicowy, wprowadzony do rządu dzięki wskazówce najwybitniejszego z radykałów, Georges'a Clemenceau. Wtedy parlament francuski dałby się zgrubsza podzielić na oportunistów, t. zn. na republikanów rządzących; na radykałów, czyli republikanów zjadliwszych, mających wpływy na rząd i od czasu do czasu dochodzących do władzy; na monarchistów, którzy od czasu ustąpienia Mac Mahona w r. 1879 już do władzy nie dochodzą, są naogół w odpyływie w opinii publicznej, co im zresztą nie przeszkadza od czasu do czasu szczyścić się powodzeniami wyborczymi. Monarchiści dzielą się na bonapartyistów i rojaliści, rojaliści są już pojednani, ponieważ hrabia Chambord umarł, i podzielił na legitymistów i orleanistów nie ma formalnych podziałów. Boulanger dochodzi do władzy jako minister wojny i usuwa książąt z armji. W parlamencie gorąco oklaskuje go lewica, gdy woła płomiennie że ks. d'Aumale tkwił w armji tylko na mocy przywilejów, że oficerem zgodnie z prawem może być albo ten kto w pocie czoła ukończył odpowiednie szkoły wojenne, albo ten kto zdobył swe galony w szeregach z turnistów na plecach (burliwie oklaski). Ks. d'Aumale nie zrobił ani

«Od pięciu minut bulanżyzm jest w bessie»...

Boulanger był bożyszczem rewanżystów. Miły, porządny człowiek, poeta Déroulède stał na czele Ligi Patrijotycznej, Henryk de Rochefort, markiz Komynard i wieczny rewolucjonista,

EDWARD KRAKOWSKI

OSTATNIA TAJEMNICA CHARLES'A PÉGUY

Kiedy się poznałem z Charles'em Pégy, jego dzieła nie były mi zupełnie obce.

Znałem już «Jeanne d'Arc», która zyskała wielkie uznanie czytelników w znacznym stopniu dzięki gorącemu, pełnemu zapału przyjęciu, jakie zgotował jej Barrès.

Przy czytaniu tej własnej książki, a także kilku «Cahiers», zaczął się w mojej wyobraźni zarysowywać obraz autora, chociaż niezupełnie zgodny z wzorem, ale niemal tak «średniowieczny», jakim naprawdę był sam Pégy. Tych kilka «Cahiers» było inspirowanych przez socjalizm i owianych osłabłą, naiwną — w szlachetnym znaczeniu tego słowa — troską o sprawiedliwość.

Używając określenia «średniowieczny», zostawiam temu pojęciu jego znaczenie tradycyjne, nieco mgliste.

Jego składnikami byłyby w takim razie wiara i zapał, jeszcze niezmożone kilkoma wiekami nowoczesnego krytycyzmu. Pod tym względem równie «średniowieczny» byłby Wyspiański, nieustraszony patriota, gorący katolik, namiętny kohekan gotyckich katedr Francji. Dodajmy odrazu, że u Péguy ten «średniowieczny» zapał nie był nigdy oddzielony od zmysłu krytycznego, którego niejednokrotnie zaznaliśmy na sobie — i to w całej potęgze — jego przeciwnicy. Zmysł krytyczny, ale i entuzjazm, instynkt wojowniczy, ale i wiara — oto składniki duszy Péguy, odsłaniające jakiś archaizm, potężny i niepokojący.

Przez pierwiastki średniowiecza rozumiemy naogół takie rzeczy, jak odwaga rycerską, ascetyczne samoumartywienie, czystość świętych i zdrowa, wesoła pogoda pobożnego rękodzielniczką, który w zgodzie z Bogiem i sumieniem wędruje od jednej pracy do drugiej, z niewinnym uśmiechem na ustach. Wszystkie te składniki średniowiecza stawały się nagłe, intuicyjne, dziwne jasne, kiedy się widziało Péguy. Powiedziałbym: więcej niż jasne, bo bliskie, bo wcielone w jego osobie.

To wrażenie «średniowiecznego człowieka» pogłębiało się we mnie, zakorzeniało, z im większą chęcią pochłaniałem jego dzieła.

Bo w nim człowiek i dzieło utożsamiały się całkowicie. Znajomość człowieka parła do poznania dzieła i odwrotnie. Była w tem wszystkim jakaś tajemnica, którą jedna śmierć — mogła odsłonić, odsłaniając ostateczne granice jego potęgi, jego twórczości i napięcia moralnego. Ale to zgłębienie możliwe było dopiero wtedy kiedy brakło człowieka, kiedy życie i dzieło, zamknięte na zawsze, nadawały się do porównań.

W jego skromnej księgarce promieniowało z jego osoby na mnie, młodego studenta, jakiejś niemal religijnej powołanie. Wśród kolegów uchodził za propagatora, entuzjastycznego misjonarza idei Péguy, coraz głośniejszo po kazdy z niego bytności.

Leż to się nie naagitowałem w kawiarniach, w Luxemburgu, by skłonić, zachęcić, ba — zmusić do czytania jego dzieł.

Jakże ten zapał odbijał się na moim stosunku do oficjalnych mistrzów z Sorbony? Muszę stwierdzić, że Pégy nigdy najmniejszym słówkiem nie starał się wzburzyć we mnie niechęci ku nim.

W Wyższej Szkole Normalnej odebrał on jak najlepsze wykształcenie. Być może, że właśnie w imię tych nauk zbuntował się przeciwko niektórym z swych mistrzów. Z czasów spędzonych w tej wyższej uczelni pozostała mu żyła profesorska, zdolność i zamiłowanie do wyjaśniania, komentowania. A nie stało to bynajmniej w sprzeczności z jego «średniowiecznością». Wszak wieki średnie znają takich gorących polemistów, jak Gerson czy Occam.

Te wspomnienia o Pégyu naprowadzają mnie na zwrócenie uwagi na jeszcze jeden jego rys. Oto ten wyrozumiały, ale zarazem pełen autorytetu profesor miał w sobie coś z dowodzącego oficera.

Cóż za mnogość składników, wiążących się harmonijnie w jednolitą postać Péguy! Gdybym chciał teraz z nich wszystkich skonstruować jego oblicze, nie miałbym innego środka do wyboru, niż uciec się do tego banalnego, ale mimo to jakże podniosłego określenia: «W Pégyu wcielona była Francja».

Zacznijmy od stwierdzenia, że pozostał on w wskazania, metody, jak stworzyć, zrealizować «l'union sacrée», ideał, o którego potrzebie mówiono więcej niż o sposobach prowadzących do jego urzeczywistnienia.

W chwili obecnej Francja po staremu stara się przewalczyć ciasnotę i egoizm stronniców. Ich wzajemne walki i scierania się są dlatego jałowe, że każde z nich przedstawia na swój sposób małą cząstkę prawdy. Dopiero suma tych prawd mogłaby stworzyć konieczną syntezę, gdy tymczasem żadna z tych partii z osobna nie jest do tego zdolna, właśnie dlatego że jest partią.

Pégy, który nie był człowiekiem żadnej partii, umiał przejść przez nie wszystkie, to znaczy uwolnić się od ich błędów, żadnej z nich, mimo to, nie zaprzeczając tej cząstki prawdy, którą każda z nich zawiera.

Był socjalistą, i coś z socjalizmu w nim zostało. Był dreyfusistą i nigdy się dreyfusizmu nie wyparł. Stał się nacjonalistą, nie przyjmując żadnego z przesądów nacjonalizmu.

Potrąfił skupić w sobie wszystkie czynniki nieprzemijające, ale naprawdę wieczne, z których się składa duch jego kraju. Jeśli chodzi o wartości duchowe, umiał odróżnić prawdziwe od fałszywych, wybrać te, które mu się wydawały wiecznotrwale.

W ten oto sposób był on wcielaniem Francji. Zarówno przez swoją myśl jak i przez swoją śmierć pozostawił swej ojczyźnie naukę w chwili najpotrzebniejszej.

Nie ulega wątpliwości, że wyszedł z idei pracy. Kochał ją i szanował w każdej formie, fizycznej i umysłowej.

Własna kultura pozwalała mu ocenić należycie wszelkie subtelności erudycji, gdy jego pochodzenie chłopięce dyktowało mu poszanowanie najsłabiej roboty ręcznej. Uchochwał Boże jednak, aby jeden rodzaj pracy miał panować nad innym. Miał równocześnie poczucie porządku i hierarchii.

Nie ulega wątpliwości, że wyszedł z idei pracy. Kochał ją i szanował w każdej formie, fizycznej i umysłowej. Własna kultura pozwalała mu ocenić należycie wszelkie subtelności erudycji, gdy jego pochodzenie chłopięce dyktowało mu poszanowanie najsłabiej roboty ręcznej. Uchochwał Boże jednak, aby jeden rodzaj pracy miał panować nad innym. Miał równocześnie poczucie porządku i hierarchii.



Charles Pégy w mundurze porucznika zdjęcie wykonane na krótki czas przed śmiercią pisarza

rarchii. Zaden wzgląd na sprawiedliwość nie mógłby — w jego oczach — usprawiedliwić idei brutalnego zrównania ludzi, żadna reforma społeczna nie miała — według niego — prawa postawienia znaku zapytania nad podławnym życiem narodu.

Praca! Podnosił ją na wyżyny zgola inne, niż to czyniły teorie Marxa, które wnet napelnily go odrazu.

Dla niego obie formy pracy — fizycznej i umysłowej — stanowiły jednosc i jednej wspólnej trosce: doskonałości. Bo dobre wykonanie jakiejkolwiek pracy wywyższa ją i idealizuje.

Dla niego — często powracał do tego w rozmowach ze mną — dobre skopanie ziemi, ba — nawet dobre zapakowanie paczki, nie było bynajmniej tem samym co zwykłe, proste okopywanie czy pakowanie.

Dążenie do doskonałości w każdym wysiłku, oto cały Pégy. Rozumiem przez to nie Pégy z książek, ale żywego, takiego jakim mi było dane go widywać. Jeżeli mógł się wydać człowiekiem średniowiecza, to nie tylko spowodu tych idei, nie dlatego że opiewał Joannę d'Arc i katedry gotyckie, ale głównie dlatego, że w swą pracę wkładał troskę o ową doskonałość, której przykład pozostawili nam średniowieczni artyści.

Otóż od wytrwałego wysiłku jest tylko jeden krok do bohaterstwa. Czyż bowiem bohaterstwo nie jest ostatecznym wysiłkiem, ciągle podtrzymywanym, w którym się nie ustaje nawet wobec niebezpieczeństwa, w którym żadna groźba nie zdolna jest spowodować osłabnięcia, załamania? Ale nawet wśród dobrych pracowników umysłowych czy fizycznych rzadko spotkać można takich, którzy przebyliby krok od wysiłku do bohaterstwa bez przynusu, bez wahania.

Pégyu kroczyl naprzeciw ofiary i poświęcenia, które go czekało, a kroczyl nie dlatego że tak mu nakazywała cała logika jego myślenia, ale głównie dlatego że ta logika nie była u niego czysto racjonalna. Czyż racjonalizm nie jest w rzeczywistości psychą inteligentną? A psycha inteligentna przejmowała Pégyu odrazu. On, tak wyrozumiały, tak ojcowski w stosunku do młodzieży studenckiej, stale i surowo karcił naszą pretensjonalność intelektualną.

Dla niego filozofia była szkołą pokory, zbliżaniem się do wielkich tajemnic. Pégyu lubował się w substancji filozofii, ale nienawidził żargonu filozoficznego. Nie tyle dlatego, że miał odrazę do abstrakcji, bo z jego dzieł można się przekonać, że nie wyrzekł się słownictwa filozoficznego w koniecznym wypadku, ile dlatego, że odrazę wzbudzała w nim owa łatwota, jaką nastrocza filozofia do wyrażania myśli mętnych czy banalnych.

Taka czujność w stosunku do samego siebie jest bliska ascezy, jest jeszcze jednym rodzajem heroizmu, a przynajmniej prowadzącą do niego droga.

Słowo to powraca często w niniejszych wspomnieniach, atoli nie znajduję

dużego innego, by wyrazić wrażenie, jakie robił.

Jego śmierć wywołała powszechny żal, ale dla nikogo nie była niespodzianką.

Pégy, jak wiadomo, poległ bohaterką śmiercią w początkach wojny, na froncie zachodnim, dn. 5 września 1914 r.

Nadnaturalna siła, promieniująca od jego osoby, miała się rozleść poza światem ziemskim: śmierć była dla niego jak gdyby wyjściem z tego świata. W tej tragicznej konieczności tkwiła najbardziej wzruszająca strona ludzka Péguy.

Jeżeli prawda jest, że wola zdolna jest usuwać najrozmaitsze, najbardziej niespodziewane przeszkody, najlepszy przykład tej prawdy pozostawił nam Pégy.

Chwilami — bo był on tylko człowiekiem, jak jest nim i bohater — oparowało go zniechęcenie. Wszyscy jego przyjaciele wiedzą, że w takich dniach ponurych Pégyu wodził tępym wzrokiem, z którego przebiegał jak gdyby żal, po swych rękopisach, odbitkach, książkach, po całym skromnym urządzeniu swej «boutique». Były to jednak chwile rzadkie, i szybko się oparowały.

Nie zabijamy momentów smutku Péguy. Z pożytkiem dla swego dzieła i swego zbawienia poskramił je, depcząc groźby, które zawieszala nad nim słabość.

Nawet dla studenta przybyłego z zagranicy, Francja w latach 1913—1914 przedstawiała obraz tak podobny do tego, jakimś widzieli niedawno i widzimy obecnie: wyzekiwanie ataku niemieckiego.

O owem pospolitem ruszeniu heroizmu wśród ówczesnej młodzieży, gotowej do poświęcenia, nie można już nie nowego powiedzieć obecnie. Ankiety w rodzaju tej, jaką w r. 1911 p. t. «Jeunes gens d'aujourd'hui» ogłosił, pod pseudonimem Athagana, Alfred de Tarde i Henri Massis, wykazywały że wśród tej młodzieży, która nie tylko przewidywała, ale odgadywała swe przerażenia, tkwiła nieopokorniona wola ocalenia wolności i ojczyzny. Jest rzeczą wiele charakterystyczną, że wśród mistrzów tej młodzieży wspomnianą ankietą wyliczala takie nazwiska, jak Maurras, Bergson, Georges Sorel, Barres i Pégyu. Wszyscy oni, tak różni od siebie, pracowali nad podniesieniem energii narodu. Ale najczęściej, z największym zapałem, wymieniany jest Pégyu. Instynktom preczowano w nim przyszłego bohatera wojny. Dzieło jego zwiastowało jego śmierć.

W moich zbyt krótkich rozmowach z Pégyu dostrzegaliśmy, może nie tak wyraźnie, jak młodzi Francuzi ówczesni, źródło heroizmu, i długo jeszcze potem, kiedy się z nim rozstałem, jego powiedzenia towarzyszyły mi w młodości, nie przestały mi towarzyszyć w życiu.

Wszystko się razem wiąże — mawiał mi często. — Opuszczenie się w pracy jest początkiem — wszelkiego rodzaju tchórzostwa.

«Nie można uniknąć tchórzostwa czy troski o najmniejszy wysiłek — niebezpieczeństwo, które nas wszystkich otacza i nęci — inaczej niż przez natężenie życia duchowego.

O ileż wymowniejsza jest ta prawda, kiedy się ją widzi wcieloną w żywym człowieku.

W Pégyu te wszystkie prawdy były wcielone. Jego wpływ na tych, którzy go czytali lub znali, nie przestaje działać.

W niebezpieczeństwie, na jakie narazona jest obecnie Francja, należy przypominać Pégyu jako jej patrona, jako wycieczny wzór do naśladowania.

Jakież światło i jaki pokój biją dziś po dawnemu z tej skromnej, zakurzonej księgarzki! We wszystkich okolicznościach, prywatnych, publicznych, społecznych, narodowych, Pégyu jest nam dziś przewodnikiem.

Kiedy Bergson mówił o potrzebie bohatera, niewątpliwie miał przed oczami pamięć Péguy.

EDWARD KRAKOWSKI.

MARJA SZUREK-WISTI

Fridtjof Nansen

«...po przerwie norweski teatr wyobraźni nada przez wszystkie rozgłośnie skandyńskie słuchowisko, poświęcone Fridtjofowi Nansenowi».

Przerwa. Długa jak wiek.

Stare, zachrypnięte radio ścący co chwila jakąś rzewną, starą melodię. Mały wiejski domek jutlandzki trzęsie się cały i ugina pod potężnymi ciosami rozpetanej zawieci. Za lasem paproci, który rano wyrósł niespodzianie na sztybach, w sinych ciemnościach zapadającego wieczoru Nowego Roku, zachwytuje się własnym rykiem i świstem rozszalały huragan. Walczy z kłębami śniegu: ściga je z niebios, porywa, okręca, zdusza i rzuca. Zarzuca całunem rozspane, beztroskie pola duńskie, poźółtkie kępy wrzosowisk, wyjedzone łysiny pastwisk. Nazajutrz gruby, puszysty dywan pokryje równo, równiutko wszystko, i napewno nie przyjdzie, poczta. Czekamy wciąż na wieści z Polski. Tu, na cichej, spokojnej wsi duńskiej — wśród dobrych i współczujących, lecz jakże innych, jakże odrębnych od nas ludzi — tęsknota staje się nieuleczalną chorobą, tragedją września — wiecznie żywa, wiecznie krwawiącą raną, którą nieustannie nawroty myśli, nieustannie wędrowki uczuć rozdrapują z jakąś masochistyczną pasją. Idzie czwarty miesiąc, a noc w noc harpę wspomnień warszawskich wyłają gdzieś z zakamarków podświadomości i obsiadają nas w koszmarnych, apłotnych snach. Tem straszniejszym — że boleśnie realnych i prawdziwych. Co rano budzimy się wyczerpani i smutniejsi, niż wczoraj. Budzimy się nieśczęśliwi własną małością, która nie pozwala nam dorosnąć do pojęcia i objęcia ogromu katastrofy.

«...wspaniała postać Nansena — niestrudzonego bojownika o postęp i sprawiedliwość — dziś zwłaszcza godna jest przypomnienia. Był dobrodrużem, prosty i wrażliwy jak dziecko. Zarazem był nieodrodnym potomkiem Wikin-gów. Ich pierwotnej, żywiołowej energii i siły, ich talentu organizacyjnego. Przewidywał, że jako niezmierzony wytrwałoci, z jaką powracali zawsze, po raz drugi, dziesiąty i setny do sprawy, którą uważali za słuszną i ważną».

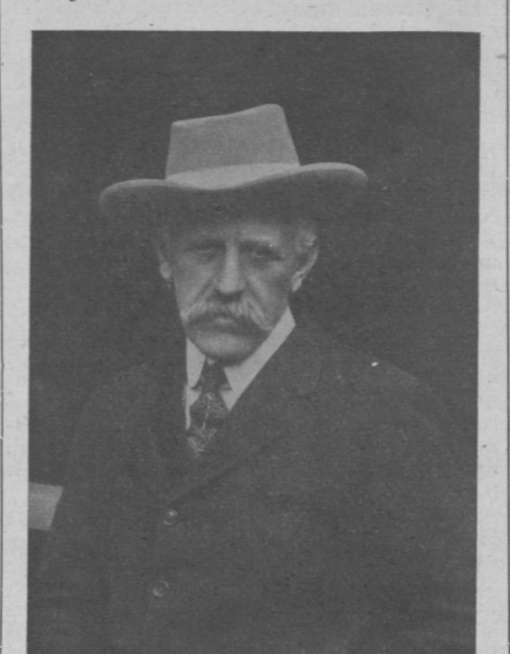
Coś tam dalej objaśnia speaker. Nasze myśli biegają do Warszawy. Starzyński. Ciche bohaterstwo, bohaterstwo bezimiennie tych wszystkich, którzy trwali. W krwawym chrzcie ognia odpadł gdzieś «czerep rubaszny», a najwspanialsze cechy polskiego charakteru — bezprzykładne poświęcenie, zapomnienie o sobie — zakwitły w brzośniei sięj stolicy. Nie było już miejsca na błąd, patus i mity, przestaniające prawdziwe bolącei narodu. Kto dbał tylko o swoje życie, piernaty, kiecki, konta — nie liczył się. Liczyli się ci co bronili i ci co trwali, spełniając swoje codzienne obowiązki. Wśród demonicznej demoralizacji, do jakiej nawoływały naloły, trzeba było własnej siły wewnętrznej i bohaterskiego przykładu prezydenta miasta, by myć się, czesać, gotować, palić śmieci, zamiatać ulice, nieść pomoc uchodźcom z ziem zachodnich, czy żołnierzowi-obroncy. Kto sam nie przedzł tego, nie może zrozumieć, że proste, codzienne czynności prostych, zwykłych ludzi w tem piekle, jakie rozpetalo się nad Warszawą, urastały do bohaterstwa. Tem większego i czystsze-go — że bezimiennego.

Wyrobujemy ciepłym oddechem małą ściężkę — w śpiętrzymym lesie paproci na sztybach jutlandzkiej chaty i spoglądamy ku wschodowi. Tęsknimy każdym nerwem do bliskich, którzy tam zostali i trwają. Spoglądamy ku zachodowi. Tęsknimy do wolnej ziemi francuskiej, skąd — jak zwycięskie ptaki na wiosnę — przylatują razporaz nadzieją brzemienne wieści, że walczą się i pracuje. Wiernie i wytrwale.

Gdzieś obok szmerze radio. Słuchowisko, poświęcone Nansenowi. Speaker podnosi jego niezłomność i wytrwalosc.

Tak. Był wytrwały, jak wytrwali byli przodkowie jego, o których mówi wielki pisarz Północy J. V. Jensen: «...byli zaś inni. Mięksi jakby, ale wytrwali. Dali się zrazu odephnąć. Ale wrócili. Wrócili, jak cofają się, by powrócić fale morskie. Zostali pokonani albo zwyciężeni. Ale ani straty, ani zdobycze nie zmieniały w ni-

czem ich dążeń, ich pragnień. Nie odbierały radości życia. Z przedziwną, giętką wytrwaloscią powtarzali sobie, że już nigdy, a nigdy nie będzie inaczej. Byli przygotowani na wieczne walki. Byli przygotowani na nieustanne porażki i na coraz to nowe zwycięstwa, hen, wzdłuż tych równych, morskich wybrzeży. Wiedzieli, że żadna klęska nie



Fridtjof Nansen 86.401

będzie ostatnią klęską i żadne zwycięstwo — zwycięstwem ostatnim».

Tak właśnie walczył Nansen. Mija dziesiąta rocznica jego śmierci. Kim był i co zdziałał, warto pokrótce przypomnieć. Wie się coścoś o wyprawach do Grenlandji, do bieguna północnego. Wie się coś o «paszporcie nansenowskim», o «znaczkach nansenowskich». Wie się, ale mało. Urodził się w r. 1861 o trzy kilometry pod Oslo. Po chlubnym ukończeniu wydziału przyrodniczego na uniwersytecie stołecznym Norwegji, zostaje konserwatorem muzeum w Bergen. Robi też doktorską z badań nad systemem nerwowym niższych gatunków zwierząt. Od r. 1882 pasjonują go kraje polarne. Wiosną tegoż roku bierze jako ochotnik udział w wyprawie na foki, na statku «Wiking», u wschodnich wybrzeży Grenlandji.

«...jakże często — napisze później — wdrywałem się na najwyższy maszt «Wikinga», by zdala podziwiać lodowce Grenlandji. Nieznana ta ziemia pociagała mnie i wabiła, widok jej poruszał do głębi. I wtedy to — raz — postanowiłem sobie, że muszę ją zbadać».

To był pierwszy projekt wyprawy. W jesieni 1883 r., gdy codziennym zwycajmem czytał wieczorem gazetę, uwagę jego przykuł telegram, oznajmiający szczęśliwy powrót Szweda Nordenskjolda z ekspedycji w głąb ładu Grenlandji. Podróżnik — wbrew oczekiwaniom — nigdzie nie natrafił na oazy roślinności i zieleni. Wszędzie, wszędzie rozciągały się niezmiernie płaszczyste śnieżne, które towarzysze Nordenskjolda, Lapofczycy, z latwością i z ogromną szybkością przebiegali na nartach. Było to dla Nansena oślnienie: aby przebrnąć przez ład Grenlandji, należało zorganizować wyprawę na nartach. Raz powzięty pomysł przyczołwał się coraz wyraźniej. Ale poza — nielicznym zresztą — gronem badaczy, cała opinja publiczna była przeciw planowi Nansena. Stał on się przedmiotem kpin i drwinek dzienników i czasopism.

Pan Nansen, konserwator muzeum w Bergen, powziął plan urządzania ekspedycji do Grenlandji i zamierza posuwać się w kierunku ze wschodu na zachód — krytykował jeden z młodych podróżników duńskich w przeglądzie «Ny Jords» («Nowa Ziemia»). — A więc zamierza posuwać się w kierunku przeciwnym do tego, jaki dotąd obierali wszyscy inni. W dodatku pan Nansen chce przebyć ład Grenlandji na nartach. Zapewne, zapewne, jest to plan wysoce oryginalny, atoli wszyscy ci, którzy ten kraj znają, powatpiewać muszą o możliwości jego realizacji. Nansen wyobraża sobie, że przebrnie przez lodowce, skacząc z kry na kry, jak biały niedźwiedź. Nie warto nawet dyskutować nad ideą podobną dzwiczną».

Nie jednak nie potrafiło zrazić Nansena. Realizacja planu posuwała się naprzód. Suma kosztów, obliczonych przez Nansena, wyniosła 5000 koron norweskich. Z uzyskaniem jej było oczywiście niemało kłopotów. Państwo było biedne i nie mogło sobie pozwolić na luksus takiego wydatku. Znalazł się jednak prywatny mecenas. Był nim Duńczyk, August Gamel. Znalazł się też ochotnicy. Zgłosili się Norwegzy, zgłosili się i dwaj Lapofczycy.

Wyniki naukowe ekspedycji grenlandzkiej miały ogromne znaczenie. Wykazały, że Grenlandja jest jedną, wielką płaszczystą łąką i lodów, o znaczeniu tu i ówdzie wzniesieniu (do 216 m).

Druga ekspedycja Nansena w latach 1893 — 1896, mająca za cel oceanograficzne badania mórz polarnych, jest wyprawą na o wiele większą skalę. Cechuje ją ten sam niezwykle śmiały rozmach projektu i ta sama drobiazgowo skrupulatność w przygotowaniu szczegółów. Nansen jest w pełni sił. Wraz z porucznikiem Johansenem opuszcza «Fram», słynny statek wiozący ekspedycję, i nie trazyony przeszkodami i trudami, dociera do 84°14'. Po raz pierwszy w dziejach okręt przedrzeć się zdolną zwycięsko poprzez zatopy lodowców i po raz pierwszy w dziejach przez 34 miesiące bez przerwy badano dotąd nie-

znane baseny mórz polarnych. Nansen pierwszy rozwiął hipotetę istnienia kontynentu arktycznego.

Uniwersytet w Oslo ofiarowuje Nansenowi katedrę oceanografji. Przez dobrych parę lat pracuje on nad ujęciem wyników ostatniej ekspedycji. Rezultatem jest 6-tomowe dzieło. Nansen jest nie tylko uczonym. Jest zarazem rasowym pisarzem i celuje w żywym, dramatycznym opisie barwnych przeżyć i wrażeń.

Czas biegnie naprzód. Nansen nie próżnuje. Po dwóch pierwszych i zarazem najpłodniejszych w wyniki wyprawach przedsiębierze dalsze ekspedycje i nowe podróże. Powstaje monografia mórz, oblewających Norwegję (1909), studia o wodach dookoła Spitzbergu (1912), rozprawy o północno-wschodnich częściach Atlantyku (1913). Mimo że od czasu wielkiej wojny poświęci się przedewszystkiem akcji filantropinowej, do ostatnich chwil życia nie przemie Nansen swych badań. Opracowuje rezultaty wyprawy Amundsen'a i ekspedycji księcia Orleanu do wschodnich wybrzeży Grenlandji. Sledzi pokrewne własnym wyprawom polarnym, sam planując nawet na 1930 r. — a więc rok, w którym zabierze go śmierć — wielką ekspedycję powietrzną do bieguna północnego.

Nieprzeciętne wyniki pracy odkrywczą i niezwykle zdolności sprawiają, że Nansen staje się niebawem jednym z największych autoritetów w swym kraju. Stoi ponad partjami. Ale nie obojętne mu są sprawy społeczne Norwegji, nie obojętne mu jest jej przyszłość. Od r. 1905 bierze Nansen czynny udział w życiu politycznym swej ojczyzny. Reprezentuje Norwegję w Londynie jako minister pełnomocny w latach 1905 — 1909. Głęboko wierząc w postęp i zbawienne skutki pokoju dla człowieka, od chwili wybuchu wielkiej wojny siły swoje, wiedzę i zdolności poświęca służbie filantropinowej. Zajmuje się wszystkimi ichymi pokrzywdzonymi wojną. Po zawarciu pokoju, reprezentuje Norwegję w Lidze Narodów, w r. 1920 zostaje mianowany wysokim komisarzem Ligi do spraw repatriacji więźniów wojennych. Sprawie tej służy z całym oddaniem; zajmuje się jeńcami, wygnancami, uchodźcami. On, który za nie miał zdrowie gdyż chodził o wyprawę badawczą, drzy teraz, drzy i walczy o każde życie, o siłę, o zdrowie tych niezliczonych rzesz pokrzywdzonych ludzi, których upośledził okrutny los, tępota biurokracji.

W akcji, którą ujął w swoje ręce, jego energia, talent organizatorski święci nieopisane triumfy. Dzieło, jakiego dokonał, było olbrzymie.

W r. 1921 na ziemiach Rosji znajdowało się ponad 430 000 więźniów wojennych, 26 narodowości, i mało już było właściwie nadziei na ich uratowanie. Nansenowi udaje się repatriować wszystkich, co do jednego. Stwarza t. zw. «nansenowski» paszport, który przynajmniej ekspatriowanym nieszczerliwym pewno międzynarodowe prawa i opiekę. Ledwie kończy akcję repatriacji więźniów, dochodzą go wieści o niezwykłym głodzie, jaki szaleje nad Włgą. Jedzie tam bez wahania i wraz z kwakrami pracuje czas dłuższy, ratując od głęki rzesze cierpiących kobiet, dzieci, starców. W krótkim czasie po powrocie z Rosji, dochodzi doń nowe wołanie o pomoc: to Grecji i Bułgarji, których Turcja wysiedla ze swoich ziem, błagając o ratunek. Nansen nie szczędił trudów. Rokuje z rządem tureckim i z rządem greckim. 1 350 000 uchodźców Greków i Bułgarów wraca do swej ojczyzny. Po tej sprawie znów inna: Armeńczycy, wysiedleni przez Rosję, Nansen nie ustaje w pracy: 350 000 udaje mu się osiedlić w Bułgarji i w Grecji, kilka tysięcy po innych krajach. Kieruje następnie osadzeniem 100 000 Bułgarów, przychodzących z Macedonii i Tracji. Kieruje repatriacją 13 000 Rosjan i rozmieszczeniem wielu dziesiątków tysięcy po różnych krajach Europy. Kieruje wymianą ludności greckiej i tureckiej, osiedlając w ojczystym kraju 300 000 Turków. Nie zapomina o akcji bliższej pomocy repatriowanym, na terenach ich krajów, przez budowę odpowiednich mieszkań, zapewnienie pracy. Równocześnie ma nadzór nad urządzeniem domów dla tysięcy Armeńczyków, którzy uszli do Syrii i do Libanu. Akcja ta może dziś się poszczycić zapewnieniem pomieszczeń 40 000 ludzi.

Dn. 13 maja 1930 r. Nansen umiera. Kontynuacja dzieła przekazana zostaje Komitetowi jego imienia przy Lidze Narodów.

Szacunek dla postaci wielkiego Norwega nie pozwala pomniejszać jej banalami superlatywami. Każdy epitet jest zbędny, gdzie mówią czyny i takie cyfry, jak te, których garść przytoczyliśmy wyżej. Pisanie wspomnień poświęconych jego rocznicowym rozważaniom jest zawsze rzeczą trudną i drażliwą. A przecie trzeba się strzec mówić za dużo, by powiedzieć dosyć.

Ostatnie wypadki w Europie nie zmniejszyły liczby uchodźców. Wręcz przeciwnie. Przybyła ogromna fala emigracji niemieckiej, czeskiej. Przybyła i fala polskiej. Jesteśmy w chwili, gdy zaczynają się nowe wędrowki, nowe krzywdy i nowe nędze. Istnieją różne instytucje pomocy. Wzorem i przykładem pozostanie jednak zawsze akcja Nansena, zrodzona z wiecznie młodej i wiecznie żywej wiary w człowieka, której nie mogą zabić najboleśniejsze i najsmutniejsze rozczarowania.

MARJA SZUREK-WISTI.

JEDYNA POLSKA INSTYTUCJA FINANSOWA NA WYCHODZTWIE

Bank Polska Kasa Opieki S. A.

ODDZIAŁ W PARYŻU

23, RUE TAITBOUT, PARIS 9^e

Agencje: Lens, Montceau-les-Mines

Przyjmuje wkłady: na każde żądanie i terminowe. Bierze udział we wszystkich poczynaniach gospodarczych wychodztwa, jako skarbnica polskich organizacji i towarzystw, które powierzą jej swoje fundusze. Pośredniczy bezinteresownie w zbiorach na cele narodowe i społeczne. Zasila kredytami polskie placówki gospodarcze i kulturalne we Francji.

BANK P. K. O. CIESZY SIĘ ZAUFANIEM WYCHODZTWA

ODDZIAŁY: Buenos-Aires, New-York, Tel-Aviv

WARSZAWA W GRUZACH

Pod taką nazwą stowarzyszenie „Amis de la Pologne” zorganizowało wystawę zdjęć fotograficznych, wykonanych w studio polskiej podczas obłężenia warszawskiego i w ciągu zimy. W Paryżu znalazła ona wspaniałe i dostojne ramy w alejach Pól Elizejskich. Przez cały miesiąc odwracała uwagę tłumów od przeludnionej perspektywy ulicowej Ławruem i Łukiem Triumfalnym ku, załusnym widokom warszawskich gruzów. Paryż przywdział strój wiosenny, młode liście srebrzyły się delikatną zielenią wzdłuż alej; w oknach wystawowych widać kapelusze damskie, lekkie i zwiewne jak kwiaty, suknie uroczyste i wyzywające, klejnoty i drobiazgi na czasie, z wojny biorące natchnienie, pragnące ją urozmaicić. A jednak wszystkie oczy biegły ku surowej fasadzie Maison Peugeot, na której szarem tle, w literach koloru krwi, odcinal się surowy i prosty napis, jak niezatłumione groźne zło: *«Warszawa w gruzach».*

W prawej witrynie, pod trzema wieńcami z wawrzynu, trzy zdjęcia z bombardowań, trzy wyloty na dym pożarów, na te zapórę skłębionego mroku przetrząta ognistymi językami, za którą przez trzy tygodnie Warszawa walczyła i cierpieła. W lewej witrynie amaranetowo - biały sztandar opadający na pokątno — symbol walki stołecznej o honor Polski aż po kres nieuniknionej.

Na samym wstępie wita nas biedny macek, którego pozę zrozpaczone uwięźnięte zdjęcie: siedzi skulony na kupie gruzów rozbitego domu, które przysypały ciała rodziców; pochylił głowę ku starogumy wspomnieniem niedalekiej, brzośkiej przeszłości. Gdyby chłopak ten podniósł głowę, ukazałaby się nam napewno twarz porażona nagle i niezatłumione podziłości. Na dalszym planie dwie małenstwo o zroskany w buziach stoły przy grobie. Maciejówka, którą tak często widzieliśmy na głowie ojca, wisi oto na kryżu drewnianym. Jest to to samo miejsce, które tylekroć wdeptały zaciskając w piastkę rękę ojca. Aby spojrzeć nań, musiałby mocno wylądzać z głową; był taki duży! Zakrywał sobą niebo! I oto teraz przyszło im patrzeć wdół, na te tereny kędy legł, aby nigdy już się nie podnieść.

Powiększenia zdjęć, wykonanych z narażeniem życia, przyniesionych potajmniej przez szereg zielonych granic, wiasty naprzeciw reprodukcji obrazów Canaletta, które przedstawiały stolicę Polski w całym jej wdzianym splendorze. Możemy jednym rzutem oka odmierzyć ogrom zniszczenia zarządzonego i zorganizowanego przez Niemców.

Brak tym dokumentom fotograficznym barwy, dźwięku, ruchu, woni; możemy je dopełnić wyobraźnią.

Patrząc na nie zdajemy sobie sprawę, że w tym wieku postępu najniżej osnowione pomysły wzięteń doświadczeniych zostały przeciżniete. Szatany Breughela starszego są jeno cudacznymi zwidami przy sztywnych, metalowych ptakach-upiornach, które setkami zacmięniały niebo nad Warszawą. Jakież potwory Gojy, grozą obłędne, rozpacz zionące, moznaby przyrównać do tych rumanich i starannie wygolonych młodych Teutonów, na których twarzach malowało się poczucie sumienniem spełnionego obowiązku? Tak bardzo dumni ze swej mocy niszczycielskiej, że ohydny jej pojęć niezdolni, rzucali bomby na to miasto najmilsze w świecie, siejąc chaos, śmierć i piekię. Jak fontanny wersalskie wzbijały przed królem-słoneciem swoje świetliste piorunowce, tak kampani śmierci tryskały mrocznym deszczem szcżaki ludzkich ciał i domostw. Gdy opadł ten czarny trzym i w ulicy, nie pozostawało nic krom ziętych wykrowów, spłatach szyn, pekniętych przewoów, z których woda, ta krew miasta, płynęła strugami, miesżające się z ludzką krwią, wytryskującą z pogruchochotnych członków, ze zmiażdżonych kadłubów. Gaz ulatywał, sycząc, z rur. Szybby, na proch starte, pył z rozwalonych murów, dym i plomienie wrzyzały się w nozdra, tamując oddech. Wszystko ko ludzie wymyśliłi by udogodnić sobie życie, zionęło teraż nienawiścią i odwracało się przeciw nim. Domy piętrzyły się, peczniały, by tem cięższym deszczem ciegi i gruzu opaść na bezbronne. Inne, wpół przecięte, wyciekały na ulice szcżatkami mebli, pańatkami z niedawnych beztrząskich dni. Cała groza wojny współczesnej, wojny totalnej, w którą świat nie chciał wierzyć, zwała się na Warszawę. Niebezpieczeństwo czyhało zewsząd: z powietrza, przeszywanego tysiącami szrapneli, z nieba czarnego od samolotów, z piwnic zasypwanych gruzem walcących się domów.

Miasto było jednym jękiem, jednym kolanem uniwersalnym. Audyję radjowę rozparzł przecinał alarm. Grzechot karabinów maszynowych zgłoszył głos speckera. Głos ten ochrypiał z wyczerpania, stawał się niezrozumiałym. Wkońcu i radio zamarło, podobnie jak telefony, elektryczność, gaz, tramwaje, autobusy, poczta. Zerwał się kontakt ze światem, dzielnicy z dzielnicą, ulicy z ulicą, odciętych ognistemi kotarami.

Bezbronna ludność widziała czarne plaki, krążące tuż nad głowami, rażące ogniem karabinów maszynowych kobiety, skupione w ogonkach, dzieci, szpitale. Patrzalla swemi jasnymi, ucziwionymi oczami, w których nie było już żadnej nadziei, które oddawna nie znaały snu. Każdy czekał na swoją kolej w śmiertelnym tańcu, czy to od kuli czy pod rumowiskiem, od bomby czy w ogniu. Tymczasem jednak każdy trwał na posterunku: mężczyźni w okopach, kobiety przy nabzyci rzadkich studniach, w których była jeszcze woda, lub w ogonkach, pod sklepami, dziewczęta na dachach, czajując z workami piasku na bomby zapalające.

Miasto pionoło, rozpadalo się w gruz. Na skwerach, na dziedzińcach, przy chodnikach, coraz to wznosiły się pagórki grobów. Spod gruzów dobywał się zaduch śmiertelny, siejący zarazę. Nad tem olbrzymim pogorzeliem o skrawionych chodnikach rozlegał się dźwięk i noc huk pocisków, trząsk karabinów maszynowych, pograżający w otumanienie ludzi pozabawionych pożywienia i snu.

Trzeba uprzytomnić sobie to piekię, zagębie się w nie aż po dno, by zrozumieć bohaterstwo Warszawy.

Trwali pod ogniem, trwali pod deszczem stalowym, trwali wówczas nawet, gdy stała się wiadome, że wszystko stracone.

Oto fotografia, wyobrażająca na srodku ulicy dwa szkielety końskie. Jeden z nich został docna odarty, ani włókno mięsa nie przywiiera do białych kości. Nad drugim kobieta wciąż jeszcze się pastwia. Jest to jakby nawrót do epoki jaskiniowej. Człowiek wyżył się wszelkich ambicji, projektów, marzeń, nie pozostało w nim nic, krom instynktu samozachowawczego. Jest już tylko głodem rozpętanym, dojmującą potrzebą snu. Ale nad tą

męką zwierzęcą wciąż jeszcze góruje, wśród ludności Warszawy, płomień heroizmu, Ci ludzie nie dośię jeszcze cierpliwości. Muszą jeszcze bardziej pograżyć się w boleś. Jedna śmierć da im radę, ale nie jej groza. Nie to że pociski i bomby spada ulewa, że obłężenie się przeciaga. Jeżeli niema już nadziei, pozostał honor.

Rozpoznaćcie się, czarne dymy, zasnucie widnokrąg! To pojecie honoru pnie ponad wami i wskazuje nam Warszawę. Pod tym ogniem błędna wysokie pochodnie pożarów. Im bardziej zaleje furja teutońska, tem większym splendorem zdołi się dusza polska którą wcieli Warszawa.

Honor: wola cierpienia i śmierci raczej niżli zdrada duszy!

Obłężenie się skończyło, gdy miasto zostało zmiatażone. Ale wy nie zostaliście zwyciężonymi warszawianami! Naboi zabrakło wam w ładownicach, nie odwagi w sercu. Gdy wojna ta zakończy się zwycięstwem sprzymierzonych, trzeba będzie byćście się znaleźli w pierwszych szeregach tych którzy wkroczo do Berlina. Wy podktywacie Niemcom warunki, gdyż wy byliście podjęliście ciężar wojny i dźwijałicie go sami i bez żadnej pomocy, pokisiście mogli, o wiele dłużej niż to było możliwe.

To że dawni kombatanci francuscy, ci znad Marny i spod Verdun, przyszli na wystawę pod wodzą p. Georges Rivollet, okaleczonego na wojnie sekretarza Zjednoczenia Narodowego Dawnych Kombatanów i Ofiar Wojny, był złycho hold ludności Warszawy: żołnierzom, kobietom, dziewczętom, małym chłopcom, tym ich towarzyszem bronili!

Również prezes rady miejskiej, p. Louis Puech, i paryscy lawnicy złożyli hold Stefanowi Starzyńskiemu, który, naprawiwszy szkody wyrządzone przez półtora wieku niewoli, przywróciwszy stolicy polskiej jej urok, wdzięk i blask, poświęcił to dzieło ostatnich lat swego życia czemuś o wiele wznioślejszemu, niż najpiękniejsza dzieła sztuki: wierności dla ojczyzny.

Dziś zabory oczyszcili ulice i wyrównali je. Ostatnie fotografie nie ukazuje już kołnącego ciała pięknego miasta, lecz tylko jego szkielet oczyszczony, okropny, jak ów koń który służył za pokarm obrocom. Wzdłuż ulic, znowu czystych, piętrzą się stosy gruzów na miejscu wytopionych i kwiatami ołoczonych domów. Fasady są nieknieite, ale przez puste okna jak przez żebra klakli pierwej widać pustkę, którą przystajają. Te budynki, które wciąż jeszcze stoją, zostały przepalone okrutnym żarem bomb zapalających: 3000! Trzeba będzie obalić te trupy. Inne wyróżniają się ponurą brzydota, której niema w prawdziwych ruinach, stołecznych dłotem czasu, tego cierpliwego artysty; brutalnie okaleczale, wznoszą ko niemu nagie kikuty. Tu ściety łuk przypomina nam kopułę. Szcżatek kolumny, zawieszzonej w powietrzu, nasuwa na myśl sale, w której tańczono polewna. Wszystko co stanowiło przepych, wytworność, piękno Warszawy, znikło bez śladu. Prześliczna dzwoniczka w stylu barokowym na Zamku, pałac Rządkich, Opera, kościóły z różnych wieków, budynki współczesne, serce Jana III i serce Chopina, kamienne kwiaty.

Posąg peowiaka, który tak wymświewano w Warszawie spowodu zbyt skomplikowanej pozy, nabrał wśród ruin nagle sensu: toż to człowiek umęczony, osuwający się w grób.

Na tem tle ponurem śmierci zapanowała i króluję w milczeniu. Ministrami jej są: mroź do wdzierający się przez okna bezszcżecnie ból trawjący moczny ród warszawian, tak głęboko wkorzeniony w ziemie mimo subtelnej kultury.

Odbudujemy Warszawę. Przytęjemy wszystkich sił do tego dzieła. Częgo żadną miarą nie da się ani odbudować ani naprawić, to duszy niemieckiej, Germanizm hoduje od wieków w synach swoich drapieżność i gwałt, wykarcawoz z nich wkońcu wszystko co ludzkie.

Zamienił tych młodych chłopców w morderców i sadystów. My nie będziemy żywili do Niemców nienawiści, bosny chrześcijanie. Ale otdąd nikt nie zdoła stłumić na ich widok owej obrzydliwej, budzącej się w człowieku instyktownie na widok pewnych zwierząt nikczemnych, które próżnoby było oswajać, których jedyną racją bytu wydaje się mord.

Mimo tylu żałów, ostaną się przeciw Warszawie. Jakież mi śpieszno zobaczyć ich znow, wyciągnąć ku nim ramiona, przycisnąć ich do serca!

Nigdy już nie będziemy jeździłi do Warszawy z lekkim sercem i z tym dąsem na ustach: «wote Kraków, tam czuje się bardziej przeszłość». Dozorca ze swoją miotłą, dorozkarcz z numerem na plecach, Antek urwis zawalany, bosa służąca, okazali się godnymi spadkobiercami tych, którzy ongi zadali krzykaczom tak dotkliwą klęskę. I czy będziemy mogli słuchać bez łez głosu dzwoniącego jak skrowonek tego malca, który biegnie na opalonych nożach, wołając: «Kurjer Warszawski!».

Roznosił gazetę swego miasta podczas grozy obłężenia, i towarzysze jego poległi śmiercią bohatera, by za cenę mała i gaceiarze mieli prawo krzyżeć nagłos te polskie słowa.

ROSA BAILLY.

W poprzednim 6-stroncowym numerze (1) «Wiadomości Polskich» (2 ilustracje): *Aleksander Hertz: God Save the King!* — *Antoni Stonimski: Przekleństwo.* — *Sir Neville Henderson, przełożyl Observer: Jak wybuchła wojna.* — *Maria Kuncewiczowa: Noc pojednania.* Fragment z powieści «Maż Rózy». — *Rafal Malczewski: Dzień.* Z opowiadań por. X. — *Józeł Wittlin: Walka z ciemnością.* — Aktualności Polityczne i Wojsne. *Zbigniew Grabowski: Churchill premierem.* Korespondencja własna «Wiadomości Polskich». *Juljusz Grot: Adam Sterbatta: Rozmowy o wojnie: Naga wojna.* *Observer: Głosy świata: Wojna idzie do Ameryki.* — *Maria Pawlikowska: Szkicownik poetycki.* — Poeta japoński ku czci Polski. — *W Wilnie o artykule Ksawerogo Pruszyńskiego.* — Korespondencja. — Książki nadesłane. — Extraits et resumés, en français, des articles paraissant dans ce numéro.

W LONDYNIE
numery
„WIADOMOŚCI POLSKIE”
sę do nabycia w biurze
M. I. KOLIN,
36, Great Russel Street.

Redaktor: Zygmunt Nowakowski

Le gerant : Gabrielle Ricordeau

IMPRIMERIE COOPÉRATIVE ÉTOILE
18-20, Fbg. du Temple, Paris (11°)

MAJ 1940

W liście, który otrzymałem niedawno, pisze jeden z moich miłych chreścijanów: *«Ta Norwegia dobiła mnie zupełnie, i z tego powodu, że ja nie miałem tego szczęścia, by się tam dostać, ogarnęła mnie taka czarna rozpacz i apatia, że do niczego nie mam chęci i już mi obrzydło życie. Od rodziny od stycznia nie mam żadnej wiadomości, a tu nikomu się nie spieszy zaczynać wojny; tam znow, gdzie jest jaka-taka wojna, to ja się nie mogę dostać. Ot los!».*

Pan Bóg wysłuchał dobrego żołnierza. Skończyło się nareszcie bolesne oczekiwanie. W noc po napisaniu tego listu, wojska niemieckie wdręcili sobie, złodziejskim sposobem, napadły trzy neutralne kraje. W jednej chwili, od Alp po morze Północne, rozgorzał płomień wojny. Poprzec cieżbę żołnierską, twarzym pasem rzucaną wzdłuż wrogiej granicy, przeszedł pomruk *«Ca y est!»*. Zaczyna się nareszcie. Zaczęli się garścić na karabinach. Krew zagała rytmem stalowych kołosów, uskrzydlały wole człowieka. *«Naprzód!»* — zadźwięczały ciche pobudki. *«Naprzód!»* — zawtórowały serca, w taki bijąc. Jak morze, w godzinę przyplumy, wezbraną falą ogarnia zwolna i miarowo brzeg samotny, tak to ludzkie morwie płynię męcą nieprzeżraną na ołdwicne pola bitewne narodów, na zycne i majem rozkwiticone równiny Flandrii. *«Ca y est — oświadczył mojskonjerski, zacierając ręce.* — *Damy im łupia! Ja znam się na tem!* Cztery lata w ogniu, w ostatniej wojnie... Go za żal, żem dżis za stracił! Jak te oni obejda się bezemnie, tociem Francuzi. Co rzekiesz, pożeńną garścią uderzył się w pierś i spojrzal na mnie srog, jakim miała zamiar protestować.

Parż, serce Francji: słyszymy niemal, jak bije równo i miarowo, rytmem żelaznej determinacji. Ani śladu owych ławych entuzjazmów które grają na rejestrach nerwów. Ani śladu ekliwch, niewięsich utyskiwan nad dolą żołnierską (nie jeno te ży cicho spływające po twarzy, poladłej z bólu, owej ślicznej dziewczyny siedzącej dziś naprzeciw mnie w metrze Saint-Lazare — Concorde). Groza nalołów zmobilizowała cywilne pospółstwo w żołnierskie niemal kadry. Krew niewinna, już przelana na rowinach sodekciej Francji, podnosi tych bezbronych do rangi żołnierzy, bezposrednio zagrożonych. Ani cienia obawy, jeno skupiona, swarta gotowość i ta odpowiedź zawieszona na wszystkich wargach: *«Présents»*. Oto jestem, gdzie mi przykazano. Oto trwam, do upadłego, na wyznaczonym posterunku. Nie bawię się w frazesy. Robię swoje.

Nad karoną ciżbą słońce majowe śpiewa urodę plonów, przybiczanych rozkwitającym pakowim.

Jeżeli ich serca, serca braterskie, biją rytmem nadziei — o ileż bardziej nasze! Jeżeli ich żołnierzowi «cniło się» w przydługim czekaniu — o ileż bardziej żołnier polski liczył godziny, dnie, tygodnie do tej chwili uroczystej, gdy — nareszcie! — ostrzem bagnetu, stalową mocą kolumn zmotoryzowanych torawać sobie znacznie droge powrotną do kraju! Bog jeden wie, ile modliłw niecierpliwych i z żołnierską gwałtowności obijało się o niebo w ciągu tej zimy przydługiej. Wszyscy tu gryźliśmy munschuk, lecz jakżek porównać cierpliwości naszą, ciurów mizernych, z ostremi zrywanymi tego zbrojnego mnostwa, które z dniem każdym rosło w mrocz i słuszną wiarę w final zwycięską? Tak jak moji chreścijan, pisali niemal wszyscy ci kochani chłopcy, rozrzucony po obozach Francji. Męke czekania poduszczala myśl o tych, co tam liczą godziny, dnie, tygodnie, zakrzępli w nieustępliwym oporze, warty, jak psy wiernie, na proгах w twierdziej przedziernych.

Myśl że tamci walczą najtrudniejszym bojem, gdy tu na froncie cisza, — była nam tak nieznośnym osienieniem, że ani dniami ani nocą nie mogliśmy zaznać spokoju. Człowiek literalnie zagryzał się obawą, że to czekanie może trwać długie miesiącami, gdy oni tam, doostatka wyzcierpani, wzywają odsieczy. Ach, te oczyswieżone przyjezdnych, plonące od gorącz-

lowych zajętych przez wojska niemieckie — to nie fakt? Odpowiedzić można, że ilość kilometrów kwadratowych może być często tłumaczona w walorach strategicznych na debet — nie na habet. Tak samo jak w kartach, można mieć trzyście kart bridzowych, lecz w nich same błotki. Napozór — wystarczająco by brać udział w grze, w rzeczy samej za mało by wygrać.

Hitler od września stanął dwa razy wobec bardzo niemięj niespodzianki. Te niespodzianki nie wpływały i nie wpływały bezpośrednio na losy akcji bojowej, lecz w przyszłości będą miały zupełnie nieoibliczalne konsekwencje. Pierwszy raz, kiedy uderzył na Polskę, stanął niespodzianie w obliczu wojny z Francją i Anglią. Drugi: występując przeciw Danii, Norwegii, Belgii i Holandji oraz Luksemburgowi, nie spodziewał się zupełnie, że wywoła tem tak spontaniczny odruch Ameryki. A jednak Ameryka zarówno Północna jak i Południowa, pod wpływem tego uderzenia przesunęła się nagie z pozycji neutralnej do pozycji wrogo wyczekującej. Inaczej: dwukrotnie niespodzianką były zwiększające się zaplecza wroga. W tej chwili stało się jasne, że sprzymierzeńcy rozporządzają tak ogromnym zapleczem, że najbardziej zmasowane dywizje motorowe czy pancerne zwalczą ich nie potrafia. Całe Imperjum Brytyjskie, całe Imperjum Francuskie, a przedewszystkiem cała Ameryka Północna z Południową, i nawet, jeśli rzeczą najzupełniej pewną, gdyby nawet spełniły się sny Hitlera o podbiciu Europy, trzeba będzie stanąć wobec nowej wojny: — z Nowym Światem.

Dzisiejsze nasze rozważania zdążają do jednego celu, który — wydaje się — jest zupełnie jasny i niedwuznaczny: wszelkie sukcesy niemieckie dni ostatnich są bez znaczenia dla ostatecznego rozstrzygnięcia. Wojna może trwać dłużej lub krócej — i to właśnie rozstrzygnie się w obecnie toczonej bitwie. Ostatecznego wyniku wojny jednak Hitler zmienić nie może, bo tego wyniku nikt z tego świata, urzędzonego i żyjącego według nieublaganej logiki praw i faktów, zmienić nie jest w stanie. Według tych praw i wymowy faktów przy obecnym układzie sił walczących — do sprzymierzeńców musi należeć ostateczne słowo.

ADAM STERBAŁA.

WOJNA W MALARSTWIE

London, w kwietniu 1940.

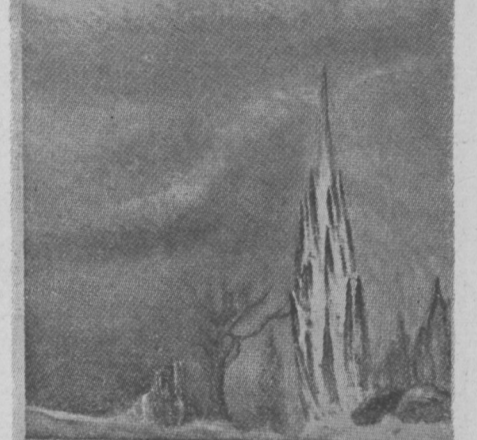
W «Stafford Gallery», siedzibie zorganizowanego już podczas wojny «British Art Centre» otwarto wystawę: *«The War As I See It»*. Wzięło w niej udział kil-



Topolski: Rysunek do książki o Polsce

ludziesięciu artystów o mniej lub więcej znanych nazwiskach.

Wodząc wzrokiem po ścianach wystawy, obwieszonych setką przeszło półtuciu rysunków, to zatrzymujemy się na jakimś śmielszym akcencie barwnym, to znow uwidzimy nas na parę sekund jakiegoś



Keiller: Ewakuowana

ki z daumierowskimi akcesorjami i «piffatissimi» wiązanii i podobieństw do graficznych chwytów Guysa. Na wyzwalające się z tych zbył bliskich pokrewieństw Topolskiego chyczącą dziś inne niebezpieczeństwa: potrzask akademizmu i braku formy. Ale przez ten człowiek prowadzi wszak droga każdego, kto ma ambicję zabezpieczenia sobie poważnego i własnego miejsca w sztuce.

Rysunki, które Topolski wykonał do swej autobiograficznej książki o Polsce, z tego ostatniego również pochodzą okresu. Niektóre z nich świadczą dobitnie że Topolski — mimo że na rynku londyńskim «majsterstwo» jego jest powszechnie uznane — nie waha się poddać swej pracy kontroli wzrastającej u niego świadomości artystycznej.

HENRYK GOTLIB.

ROZMOWY O WOJNIE O ZWYCĘSTWIE

W tej chwili naprawdę ogromnie trudno prowadzić dyskusję o toczącej się wojnie w tonie spokojnego obserwatora. Bitwa, która toczy się prawie na naszych oczach przybrała charakter bitwy decydującej. Jednak wypadki, które rozgrywają się od szeregu dni, rozwijają się w drodze najpełniejszej konsekwentnej i logicznej, w porządku przez nas na łamach tego odcinka nieraz omawianym.

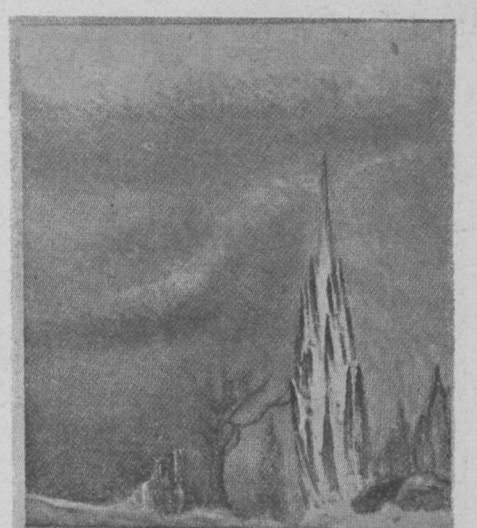
Hitler musiał uderzyć, to prawda, lecz nikt nie spodziewał się, że w tem uderzeniu postawi tak dalece wszystko na jedną kartę, na jednego asa. Tu leży do pewnego stopnia niespodzianka. Jednak, urodzony ryzykant, nie obawiał się powiedzieć: «va banque», i dlatego musimy nazwać bitwę tocząca się obecnie: bitwą decydującą.

Nie należy jednak fałszywie interpretować tego słowa. Jeszcze tak niedawno nazywano «bitwą decydującą» bitwę, w której zwycięzca był ostatecznym zwycięzcą. Dyktałem poprostu warunki pokojowe. Podobnie jak naprzykład Napoleon pod Ję. W obecnej dobie wygląda to zgola inaczej. Bitwę można wygrać lub przegrać, lecz zwycięstwo ostateczne zeszło z pola walki i schowało się do safe'u bankowego. Z głębi podziemi dobrze obetonowanych kontroluje bez wielkiego wzruszenia wstępującą czy ubygającą zapasy w magazynach, budowy w stoczniach, reguluje ruch w portach, wreszcie patrzy pilnie na statystyki konsumpcji i produkcji.

Zmaganie się potwornych sił żelaza i ognia, krwi i benzyny, na które patrzymy, jest zmaganiem się dwóch potencjałów wytrzymałości produkcyjnej. Tak na to patrzeć należy. Ponieważ stopień wytrzymałości Hitlera, mierzony stałą i benzyną, jest mały, Hitler musi przejść do wyników w przestrzeni. Ma w tem dwa cele: propagandowy i rabunkowy. Trzeba przemalować ludzi pod wrażeniem zwycięstwa, trzeba zabierać coraz nowych ziem, wreszcie trzeba swój potencjał zwiększać choćby o małe procenty przez zdobywanie środków, których się samemu produkować nie jest w stanie. Ponieważ Hitler nie ma możności ostatecznego zniszczenia przeciwnika, co bywa zasadniczym celem wojen, musi szukać zwyciężaj Niemiec i jakichś surogatów. Temi surogatami mają być liczby — nie fakty. Jakże, powie ktoś, ilość kilometrów kwadra-

ne bawienie się farbą olejną; w innym znow miejscu miło jest rzucić wzrokiem na surrealistyczny obrazek Armstronga, który z dużą dla siebie korzyścią wychowywał się na malarstwie abstrakcyjnym. Ale poza paru nieszczęśliwie nudnymi plótnami, panuje na wystawie najgorszego typu «literatura». Przeważają więc obrazy, malowane podle (bez śladu zainteresowania się malarstwem samego autora plótina) i których cały sens zawarty jest w... tytule. Tak np. Keiller maluje małą dziewczynkę (niemal kopję według Kisłniga) i uwięszw jej białą plamę pod szyją, nazywa ją: *«Ewakuowana»*. Ktoś inny maluje nogi, parę schodów i parasol i nazywa to: *«Monachium 1938»*.

Na ile tego pokazu korzystnie odbijają rysunki naszego rodaka Topolskiego. Wykonane dla *«Free Europe»* (por. nr. 4 «Wiadomości Polskich»), świadczą o zdecydowanej ewolucji artysty. Są prawie oswoibozone z resztek daumierowskiej rytmi-



Aubrey: «Niech się stanie światło»...

dekoracyjne zharmonizowanie. Miejscami zdarzy się natrafnić na szczerze zamulowane do rzemiosła malarskiego i przyjem-

Dans son colis

n'oubliez pas de placer

LE BON BILLET DE LA
**LOTTERIE
NATIONALE**

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS
123, Boulevard Saint-Germain, Paris (VI°)
Tél. : DAN. 04-42
MÉTRO : Odéon lub Saint-Germain-des-Prés

POLECA KSIĄŻKI W JĘZYKU POLSKIM I FRANCUSKIM PO CENACH ŚCIŚLE KATALOGOWYCH

OBECNIE POSIADAMY NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PODRĘCZNIKI DO NAUKI OBCYCH JĘZYKÓW:

1000 słów po francusku. Najłatwiejszy samouczek języka francuskiego w 34 lekacjach z 94 ilustracjami. Opracowali C. Buchholtz, dr. E. Wallenberg i M. Goryński.	fr. 100.—
Z. FRENKIEL — Mówmy po francusku. Wyd. trzecie.	fr. 24.—
B. HAMEL — Le français moderne à l'usage des Polonais. W sprawie kartaonowej (ukazuje się w najbliższych dniach).	fr. 25.—
P. HARDY — Moja metoda. Najłatwiejszy i najnowszy podręcznik do nauki języka francuskiego. W sprawie kartaonowej.	fr. 24.—
S. W. PIWAR — Praktyczna metoda języka angielskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela.	fr. 36.—
B. HAMEL — Podręczny słownik francusko-polski i polsko-francuski z wymową fonetyczną.	fr. 65.—
Część I: francusko-polska fr. 65.—	
Część II: polsko-francuska fr. 65.—	
J. STANISŁAWSKI — Słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Oprawa płócienna. Całość w jednym tomie.	fr. 100.—
Prof. M. H. DZIEWICKI — Słownik karzelek polsko-angielski i angielsko-polski, z wymową. W sprawie płóciennnej.	fr. 27.—

Ponadto posiadamy na składzie bogaty wybór słowników obcojęzycznych oraz książek z wszystkich dziedzin. Na żądanie katalogi polskie i francuskie bezpłatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.

ZWRACAJ SIĘ Z PEŁNEM ZAUFANIEM DO KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU